Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 103/4 (1887/8) 26—30 grudnia 1969 r. Cena 1 zł

Pogodnego serca, zawsze uśmiechniętej twarzy, samych piątek w dzienniku szkolnym, arcyciekawych zajęć na zbiórkach

— życzy Wam w Nowym, 1970 Roku
Wasz „Świat Młodych"

Na granicy JEST STRAŻNICA

RANEK jest taki jak inne o tej porze roku; ani chmurny ani słoneczny, za to mroźny. Widzę przed sobą las, a paręset metrów dalej — granicę, czyli pas białego niezadeptanego śniegu...

Nareszcie pierwsze drzewa. Skradam się wolno od pnia do pnia. Wszędzie biało... Jest i pas, na oko dziesięć metrów szeroki. Przystaję, rozglądam się uważnie. Wokoło cicho, spokojnie...

Jeszcze parę metrów i wyjdę na przesiekę, zacznę szybko biec i... skoczę sobie za granicę!... Tutaj teraz nikogo nie ma!

Pierwsze trzy kroki rozbiegu i...

— Stój, służba graniczna! — słyszę spokojny głos.

Staję jak wryty. Patrzę w stronę, skąd padło ostrzeżenie. Zza krzaku wystaje lufa peemu.

— Ręce do góry! Obrócić się do tyłu!

Automatycznie wykonuję nakazane czynności. Obracając się widzę po drugiej stronie przesieki, za drzewem, drugiego wopistę. „Powiodło mi się, nie ma co..."

Odprowadzają mnie kilkadziesiąt kroków dalej, następnie stawiają z rękami podniesionymi do góry. Zdejmują rękawiczki, zegarek, wyjmują drobiazgi z kieszeni. Wszystko to dzieje się w milczeniu. Myślę, czy nie udałoby mi się jakoś uwolnić, ale nie warto ryzykować. Drugi żołnierz stoi za drzewem i czuwa.

C. d. na str. 3

Dziś w numerze przeczytasz:

- o projekcie zorganizowania polskiej wyprawy przez Atlantyk śladem „pierzastego węża"
- o Indianach z plemienia Kri, którzy uciekli z rezerwatu by żyć na wolności
- o dziwnych zwierzętach Australii
- o znanym wam aktorze — Józefie Nalberczaku
- o polskiej wyprawie wysokogórskiej w Karakorum
- o meteorycie tunguskim — dyskusję w ToMiK-u.

Ponadto polecamy nasze stałe pozycje: Tytusa, rewię mody, ekran „Świata Młodych", noworoczną krzyżówkę...

Życzymy przyjemnej lektury.

TAG Trening Geniusza Absolutnego

WSZYSCY chyba wiedzą, co to jest „fatamorgana". Wyraz ten pochodzi z języka włoskiego i oznacza miraż, czyli złudzenie optyczne występujące na dużych i pustych płaszczyznach, np. pustyniach, polach śnieżnych czy nawet przy powierzchni wód mórz i oceanów.

Nie proponuję Wam wyprawy na Saharę, ale za to mogę Wam zafundować szesnaście nie tylko złudzeń optycznych, ale i dziwadeł pierwszej klasy — bez konieczności wychodzenia z domu.

Na każdej stronie dzisiejszego wydania „Świata Młodych" znajdziecie jeden rysunek, a pod nim kilka odpowiedzi. Zabawa polega na tym, aby wybrać właściwą odpowiedź i postawić sobie obok niej krzyżyk. PRZESTRZEGAM JEDNAK PRZED STAWIANIEM KRZYŻYKÓW BEZ ZASTANOWIENIA, BO TO WAS BĘDZIE DROGO KOSZTOWAŁO!

Prawidłowe rozwiązania drukuję na ostatniej stronie „Świata Młodych". Wolno do nich zajrzeć dopiero po samodzielnym rozwikłaniu zagadek. KTO JE WSZYSTKIE ROZWIĄŻE PRAWIDŁOWO — MOŻE UWAŻAĆ SIĘ ZA NAJGENIALNIEJSZEGO CZŁOWIEKA WSZECHCZASÓW.

UWAGA! Nie wolno w trakcie rozwiązywania posługiwać się żadnymi przyrządami pomiarowymi! Trzeba tylko patrzeć i myśleć.

JERZY DĄBROWSKI

1 Odcinek A—B jest dłuższy. .....
Odcinek C—D jest dłuższy. .....
Odcinki A—B oraz C—D są równe. .....

W dniu 19 grudnia br. Rada Naczelna Związku Harcerstwa Polskiego przychyliła się do prośby harcmistrza Polski Ludowej — Wiktora Kineckiego i w związku z jego przejściem do pracy w Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zwolniła go ze stanowiska Naczelnika ZHP. Nowym Naczelnikiem został wybrany dotychczasowy zastępca, harcmistrz Polski Ludowej — Stanisław Bohdanowicz.

„ŚWIAT MŁODYCH" ROZMAWIA

Z DRUHEM WIKTOREM KINECKIM

CO JEST TWOIM NAJWIĘKSZYM SUKCESEM?

— Od 1964 roku jesteś, Witku, Naczelnikiem ZHP. Co uważasz za swój największy sukces w kierowaniu naszym Związkiem?

— Kiedy po kilku latach reprezentowania polskich organizacji młodzieżowych w Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej wróciłem zza granicy, w harcerstwie toczyła się dyskusja, czy organizacja powinna obejmować wszystkie dzieci i młodzież w wieku harcerskim czy też tylko część. Należałem do tych, którzy sądzili, że harcerstwo nie powinno być powszechne, ale wydawało mi się, że zrzeszając zaledwie ponad milion członków jest zbyt wąskie. Wyliczyłem sobie, że w ciągu kilku lat można poprzez przygotowanie odpowiedniej liczby nowych drużynowych powiększyć szeregi ZHP o 600—700 tysięcy zuchów i harcerzy. Ponieważ 1 700—1 800 tys. nie jest okrągłą liczbą, ktoś zaproponował hasło: „Kierunek na 2 miliony". Obawiałem się potem, czy je zrealizujemy

Dziś ZHP liczy ponad 2 miliony zuchów, harcerzy i instruktorów. Trudno jednak powiedzieć, że to mój osobisty sukces. Do mnie należy autorstwo tego projektu, ale na jego zrealizowanie złożył się wysiłek tysięcy instruktorów.

— Jakie niecodzienne wydarzenie z tych lat utkwiło Ci w pamięci?

— W harcerskiej przystani w Pucku odbywała się uroczystość otwarcia sezonu żeglarskiego. Miał w niej wziąć udział członek Biura Politycznego KC PZPR — Zenon Kliszko, dowódca Marynarki Wojennej i inni honorowi goście. Przypłynąć motorówką mieli od strony Zatoki.

Telewizja przygotowała się do transmitowania programu „na żywo". Na początku planowany był raport. Tymczasem goście przypłynęli kilka minut wcześniej.

Bez jakichś wyjaśnień zatrzymuję ich więc na molo w zasięgu ustawionej na dachu kamery telewizyjnej i spoglądając ukradkiem na zegarek zaczynam coś opowiadać. Kątem oka widzę błagalne spojrzenia operatora. Za wszelką cenę muszę przeciągnąć rozmowę do 17.00.

Nagle otrzymuję sygnał od operatora. Przerywam rozmowę w pół zdania, staję na baczność i zaczynam składać raport. Trzeba było widzieć w tym momencie twarze gości. Podejrzewali zapewne, że mi się — jak to mówią — „pogorszyło". Później oczywiście wyjaśniłem wszystko.

— Pełniłeś w ZHP wszystkie funkcje: od szóstkowego zuchów do naczelnika ZHP. Co z tego wyniosłeś dla siebie?

— Działałem w harcerstwie blisko 25 lat, z tego 12 lat przepracowałem — można by powiedzieć — zawodowo. Wyniosłem z tego duże doświadczenie w organizowaniu pracy i w kierowaniu organizacją społeczną.

Słyszałem o 14-letnim przybocznym z Warszawy, który oświadczył kiedyś swemu ojcu, że w przyszłości zostanie Naczelnikiem ZHP. Życzę organizacji, aby miała jak najwięcej takich zastępowych i szóstkowych. Wtedy nie zabraknie jej doświadczonych, ofiarnych, pełnych zapału pracowników.

Z DRUHEM STANISŁAWEM BOHDANOWICZEM

CZEGO ŻYCZYSZ HARCERZOM W NOWYM ROKU?

— Pracujesz, Staszku, w harcerstwie od wielu lat. Co daje Ci w tej pracy największe zadowolenie?

— Faktycznie, pracuję w ZHP 20 lat. Cenię naszą organizację, bo dzieje się w niej zawsze coś nowego, romantycznego. Możliwość współtworzenia tego, co się lubi, daje największe zadowolenie.

Lubię tę organizację również dlatego, że znajdują w niej miejsce obok zadowolonych również niezadowoleni. Z ich niezadowolenia z tego, co osiągnęliśmy w harcerstwie, rodzi się wiele nowych, ciekawych pomysłów.

Moją pracę w harcerstwie zacząłem przed 20 laty w Gorzowie Wielkopolskim. Któregoś dnia przyszła wówczas do mnie — jako do komendanta hufca — grupa harcerzy z jednej ze szkół podstawowych. Prosili, żebym pomógł im zorganizować szkolną potańcówkę-zabawę. Ponieważ zamierzali urządzić bufet z ciastkami, założyliśmy na ten cel pieniądze z kasy komendy hufca. Niestety na wieczorku nie było zbyt wielu chętnych do kupowania ciastek. Przez trzy następne dni razem z obsługą bufetu głowiliśmy się, jak sprzedać te ciastka, aby pieniądze się wróciły.

Przypomniały mi tę historię przed dwoma laty w Gorzowie obecne instruktorki, a ówczesne harcerki, z którymi razem rozsprzedawałem te ciastka. To również daje dużo satysfakcji, kiedy po latach można zobaczyć jak z naszych harcerzy wyrośli zapaleni instruktorzy, widzieć rezultaty naszej pracy wychowawczej.

— Wchodzimy w Nowy Rok 1970. Co Twoim zdaniem będzie w tym roku dla naszego Związku najważniejsze? Co będzie najważniejsze dla blisko 200 tys. zastępowych?

— Sądzę, że najważniejsze jest to, by wszystko, co zaplanowano na rok 1970, przeprowadzić zgodnie z hasłem IV Zjazdu ZHP: „wzorowo pracować". Dotyczy to i Kampanii „Iskra-70" i udziału w obchodach XXV-lecia zwycięstwa nad faszyzmem, VI Alertu i harcerskich spotkań z książką, harcerskich manewrów techniczno-obronnych, akcji Frombork i całej harcerskiej akcji letniej. Jeśli nasi zastępowi nie uznają hasła: „wzorowo pracować" za ważne, to żadne z tych przedsięwzięć nie wzbogaci przeżyć harcerek i harcerzy, nie da im satysfakcji. A wzorowo pracować, to znaczy dobrze przygotowywać się do prowadzenia zbiórek, w pracy zastępu uwzględniać życzenia i ambicje każdego z jego członków, powierzać każdemu harcerzowi zadania i obowiązki, zaprosić do pomocy starszych harcerzy, instruktorów, a także rodziców.

— Czego chciałbyś życzyć w Nowym Roku zuchom, harcerkom i harcerzom?

— Przede wszystkim, by wraz z pożytecznym działaniem w harcerstwie, zyskującym pochwałę rodziców, sympatię wychowawców i uznanie władz, mieli wiele przyjemnych osobistych przygód, dających dużo radości i pozostawiających niezatarte wspomnienia na długie lata. A czytelnikom „Świata Młodych", by na łamach gazety znajdowali to, co ich interesuje, to, co im pomaga uczyć się żyć.

Rozmawiał: JERZY MAJKA

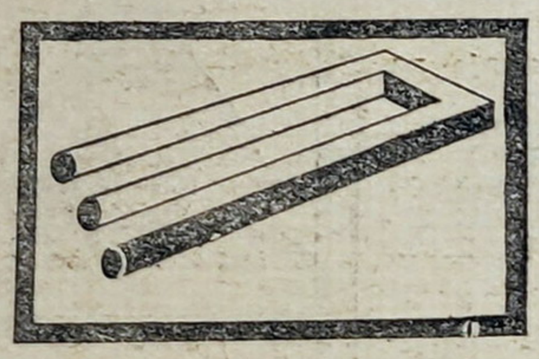

2 Taki model da się wykonać z drewna. .....
Taki model da się wykonać z plasteliny. .....
Modelu tego w ogóle nie da się wykonać. .....

POSIEDZENIE RADY NACZELNEJ ZHP

19 GRUDNIA, godzina 11.30. Do sali konferencyjnej Stołecznej Rady Narodowej zostaje wniesiony uroczyście sztandar Związku Harcerstwa Polskiego. Zaczynają się obrady Rady Naczelnej ZHP.

W pierwszym punkcie porządku dziennego omawiane są sprawy dotyczące pracy instruktorów harcerskich. Po dyskusji Rada Naczelna uchwaliła nowy regulamin stopni instruktorskich i ogłosiła współzawodnictwo między młodzieżowymi kręgami instruktorskimi o prawo udziału w II Ogólnopolskim Zlocie MKI „Cedynia 1972".

Po wyborze nowego naczelnika następuje uroczysty moment przekazania sznura. Druh Kinecki zdejmuje swój sznur z ramienia i przypina go druhowi Bohdanowiczowi.

Uczestniczący w obradach członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR — Józef Tejchma w imieniu kierownictwa partii złożył druhowi Kineckiemu podziękowanie za owocną i wieloletnią pracę w ZHP, a nowemu naczelnikowi życzył sukcesów dla dobra Związku i wychowania młodego pokolenia Polski Ludowej.

W imieniu zespołu redakcyjnego i miliona czytelników „Świata Młodych" dołączamy się z całego serca do podziękowań dla druha Kineckiego, do życzeń i gratulacji dla druha Bohdanowicza.

... „Służbę będziecie pełnić na odcinku prawym w rejonie kamienia granicznego..." — pokazuje na mapie plastycznej kpt. Bereszczyński.

O wszystkim, co wyczytają ze śladów, zawiadamiają strażnicę przy pomocy mikrotelefonu.

Na granicy JEST STRAŻNICA

To właśnie ten żołnierz zatrzymał mnie na granicy.

Nieczęsto zdarzają się takie odwiedziny w strażnicy. Tym razem odwiedzili żołnierzy z okazji świąt przebywający na zimowisku w tych stronach harcerze.

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

— Padnij! — słyszę nowy rozkaz.

Leżę plackiem w śniegu, nadal z rękami wyciągniętymi przed sobą.

— Sprawdźmy jeszcze teren — słyszę, ale nic nie widzę, bo trudno coś widzieć, gdy ma się nos w śniegu.

Po trzech minutach dochodzi do moich uszu szelest. Wraca jeden z żołnierzy.

— Był sam — mówi do swego towarzysza.

— Wstać! — wołają do mnie.

Wstaję, przede mną stoi starszy szeregowy.

— Będziecie teraz doprowadzeni na strażnicę. Uprzedzam, że w czasie drogi nie wolno wam nic wyrzucać, nie wolno porozumiewać się z nikim, każdy podejrzany ruch lub próba ucieczki będzie dla nas sygnałem do użycia broni bez ostrzeżenia.

Idziemy przesieką. Oni za mną, z tyłu. Koniec lasu... widać strażnicę. Podchodzimy do bramy, wartownik wzywa oficera dyżurnego. Pada zwięzły meldunek o zatrzymaniu „przestępcy granicznego" w rejonie...

Po chwili stajemy przed dowódcą strażnicy, który dziękuje żołnierzom za wykazaną sprawność w czasie pełnienia służby i... zaprasza mnie do swego gabinetu, ku zdumieniu otoczenia.

*

— Może wam się uda... — pocieszał mnie wczoraj dowódca, kiedy pytałem go o pozwolenie na ten eksperyment.

— Cóż, nie udało się. Żołnierze rozumieją, że cały mój wypad za granicę został wczoraj uzgodniony z dowódcą...

Dowódca pokazuje mi strażnicę — dom żołnierzy, którzy pełnią tak odpowiedzialną służbę. Na sali czyściutko, łóżka posłane równo po żołniersku. W świetlicy radio, adapter. Żołnierze oglądają program telewizyjny — odpoczywają.

— Za godzinę idą na patrol — wyjaśnia kpt. Protazy.

— Chciałbym zobaczyć, jak odbywa się odprawa służby.

Sala odpraw to niewielki pokój, na ścianie mapa plastyczna tego odcinka granicy państwa. Wchodzi dwóch żołnierzy; oficer dyżurny kpt. M. Bereszczyński pyta:

— Jesteście zdrowi?

— Tak jest! — odpowiadają.

— Zjedliście posiłek?

— Tak jest!

— St. szer. Gandziorowski i szer. Łukasik, wyznaczam was do służby ochrony granicy państwowej PRL jako patrol graniczny. Dowódcą elementu jest st. szer. Gandziorowski.

— Służba! — odpowiadają stojąc na baczność.

— Służbę będziecie pełnić na odcinku prawym w rejonie kamienia granicznego od kładki na pasie do lasku olchowego. Zadaniem waszym jest nie dopuścić do bezkarnego przekroczenia granicy. Podaję hasło i odzew... Czas pełnienia służby godz. 12.50—19.50. Łączność utrzymywać przy pomocy mikrotelefonu.

Jeszcze tylko podpis w książce służbowej i poszli... Wychodzą, kiedy świeci słońce, wrócą ciemną nocą.

Tekst i zdjęcia
K. ADAMOWSKI

DLACZEGO BAWIMY SIĘ W SYLWESTRA?

W zamierzchłych czasach znana była legenda o groźnym smoku Lewiatanie, który w roku 311 został uwięziony w lochach przez ówczesnego papieża, Sylwestra I. Zapanował spokój. Jednak wieść niosła, że smok w roku 1000 ucieknie z ukrycia, zniszczy cały świat, a niebo zapali. W 999 roku papieżem został mnich benedyktyński, który przyjął imię Sylwestra II, co ludziom z miejsca przypomniało smoka i straszną wyrocznię. W dodatku opowiadano sobie, że Sylwester II jest czarnoksiężnikiem, bo w swojej celi buduje tajemnicze maszyny, a na dodatek studiuje dzieła arabskie.

Zbliżał się koniec roku. Ludzi ogarnął przemożny strach. O samej północy, 31 grudnia 999 roku, w Rzymie zabiły wszystkie dzwony. Ludzie w grozie i lęku oczekiwali na smoka. Lewiatan jednak nie ukazał się.

Rozpoczęła się noc sylwestrowa. Szaleńcza, radosna, czarodziejska, która niosła nowe życie darowane przez smoka.

I tak przyjął się zwyczaj uroczystego obchodzenia nocy sylwestrowej, podczas której żegnamy stary i witamy Nowy Rok. (ba)

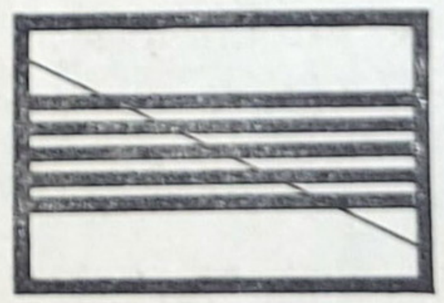

3 Cienka skośna linia przecinająca pięć grubych linii:
jest idealnie prosta .....
składa się z kilku schodków .....

Rewia mody „Świata Młodych"

Karnawałowe dodatki

Jak zwykłą sukienkę przemienić w karnawałową? Nie martwcie się, są na to sposoby. Dzięki nim zeszłoroczna sukienka wyda wam się nowa i modna. Wystarczy zastosować kilka ozdób, które „się nosi" jak np. różnego typu łańcuchy, koraliki, frędzelki z błyszczącej lasety lub nawlekanych koralików. Odrobina pomysłowości i stwarzają się ogromne możliwości przystosowania starej sukienki do nowych potrzeb. Oto kilka przykładów dla pobudzenia waszej wyobraźni:

1. Różnego rodzaju łańcuchy, łańcuszki, w połączeniu z koralikami, nawet trzy na raz, ogromnie zdobią prostą gładką sukienkę, nadając jej bardziej uroczysty charakter. Takie naszyjniki można sobie samej zrobić, łącząc drobne kółeczka (np. te do firanek) czy też kupując łańcuszek na metry.

2. Kołnierzyk — pelerynka z nawleczonych koralików przyszytych do aksamitki zapiętej na szyi i również naszywanej koralikami. Można do tego wykorzystać różnej wielkości i kształtu stare, zdekompletowane sznurki korali.

3. Taką modną chustą możesz przykryć starą bluzeczką tworząc sobie wystrzałowy strój karnawałowy. Chustę robi się szydełkiem, tzw. łańcuszkiem, a więc ściegiem ażurowym. Chusty takie najczęściej noszone są do spodni. Chustę można zrobić z wełny, z poprutego starego swetra, lub z błyszczącej lasety. Oczywiście ta z błyszczącej nitki ma charakter karnawałowy. Chustę wykańczamy długimi frędzlami i efekt zapewniony!

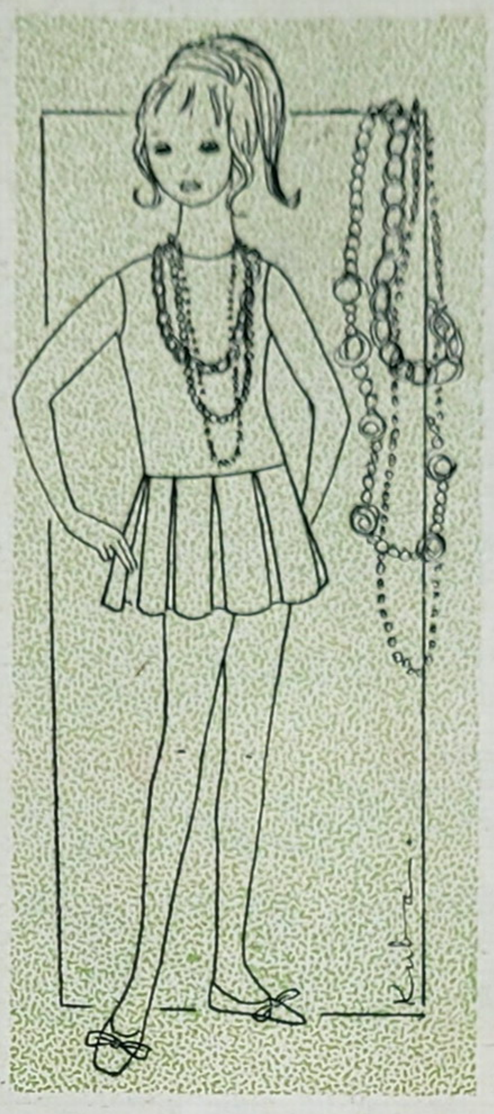

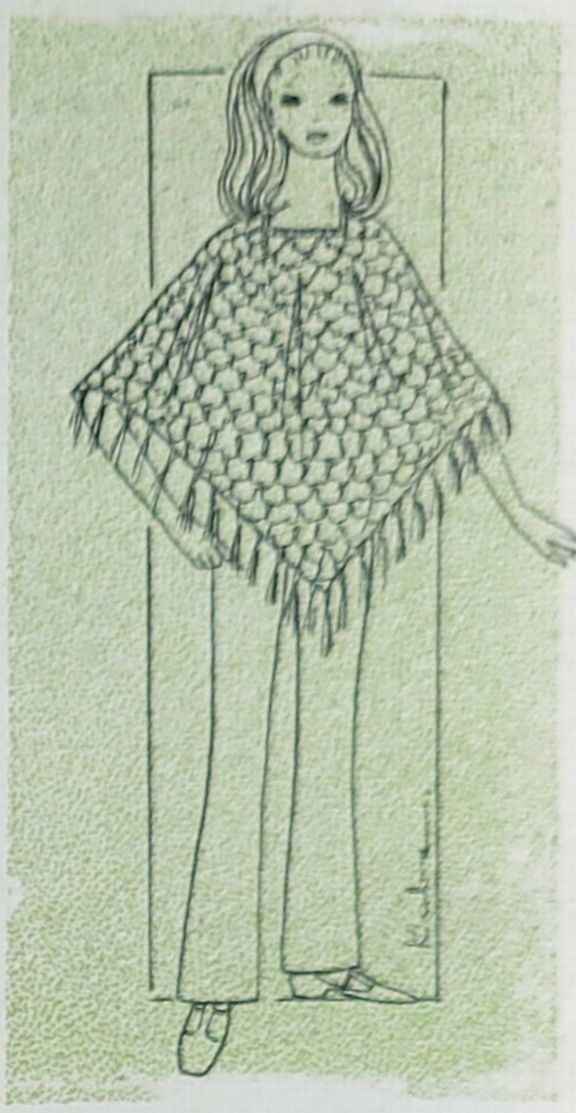

HARCERSKA AKADEMIA OLIMPIJSKA

HAO

WOLA

GDY ruszyli na trasę 800 metrów, wśród prawie 100 tysięcy ludzi na trybunach nie było człowieka, który by mógł przewidzieć sensację na mecie. Tom Courtney był asem bieżni — mistrzem olimpijskim z Melbourne — wspaniałym, szybkim i silnym zawodnikiem. Patrzyłem na jego szerokie ramiona, muskularne ręce, długie nogi i wydawało mi się, że czuję promieniującą z nich energię.

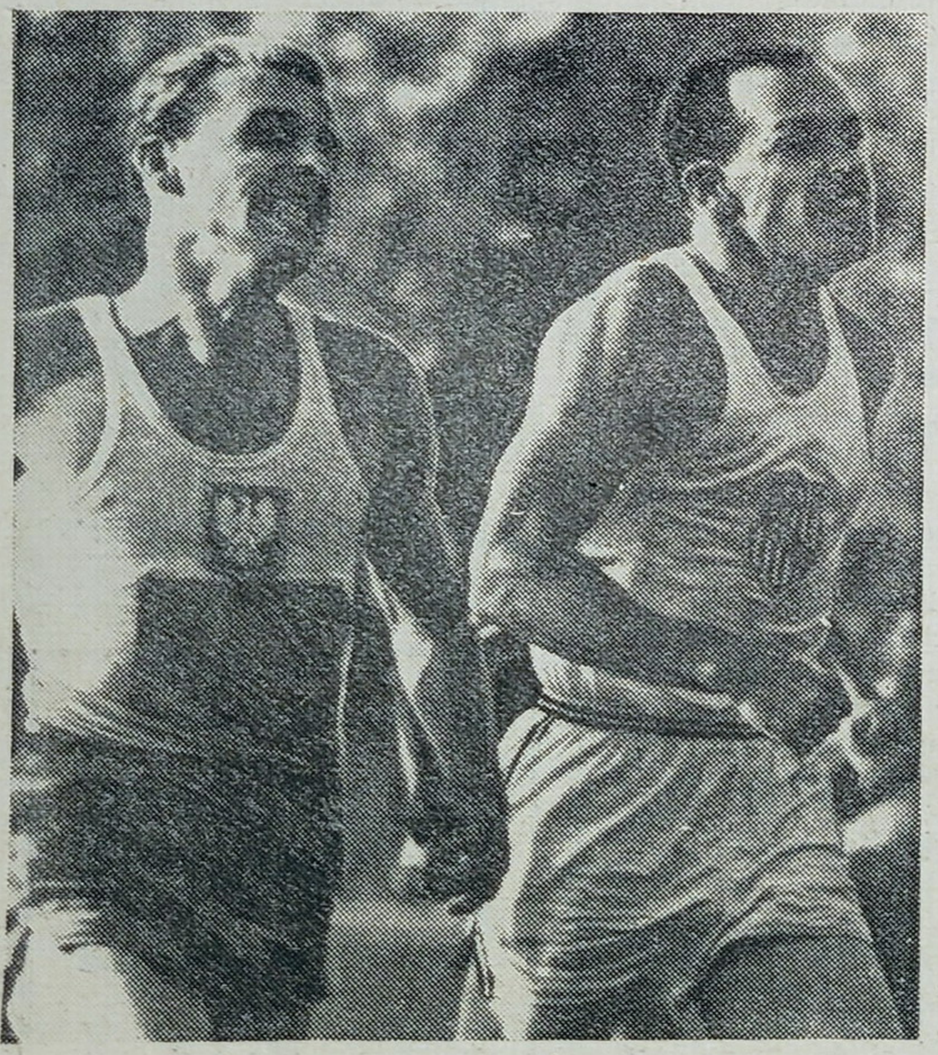

Oto dramatyczny moment — Tom Curtney (z prawej) jeszcze biegnie pierwszy, za chwilę wyprzedzi go Zbigniew Makomaski.

Biegli jak cztery ścigłe, lekko pochylone charty, nieomal w grobowej ciszy. Ściskaliśmy dłonie aż do bólu i nie wierzyliśmy własnym oczom. Polacy nie odstępowali Courteneya nawet na krok. Pędzili tuż za nim, dotykali go spoconymi barkami i w końcu sprawili, że niewzruszony Tom drgnął, zawahał się... I wtedy do ostrego boju ruszył Tadeusz Kazimierski. Zaatakował Toma przed wejściem na przedostatni wiraż. Amerykanin wytrzymał natarcie. Odparł je. Ale na prostej, prowadzącej już do mety, Kazimierski jeszcze raz rzucił się do prawie beznadziejnego pojedynku. Zrównał się z Courtneyem. Niestety! Nie miał już sił, aby go wyprzedzić.

I wtedy stało się coś cudownego! Jak zjawa pojawił się Zbigniew Makomaski. Złamał milczenie widzów, sprawił, że nad stadionem rozległ się szalony grzmot oklasków. Trudno było usiedzieć spokojnie. Polak zaczął się wysuwać przed mistrza olimpijskiego. Powoli, centymetr po centymetrze, z ogromnym wysiłkiem. Tom wciąż się nie poddawał, wciąż walczył, chciał udowodnić swoją klasę. Na próżno. Makomaski, niesiony jakąś niespotykaną wolą zwycięstwa, dotykał już piersią białej taśmy na linii mety. Zwycięstwo! Rekord Polski na 800 metrów — 1.46,7 min. Kazimierski był trzeci.

Zanim biegacze otarli pot z czoła, już byłem przy nich, ściskałem im dłonie i pytałem, jak to mogło się zdarzyć? Wśród wielu innych słów zanotowałem często w sporcie powtarzane określenie — kierowała nami WOLA ZWYCIĘSTWA...

Skoczek z bandażem

Meksyk — XIX Igrzyska Olimpijskie. Finał trójskoku. Co chwila pada rekord świata. Zaczarowaną do niedawna granicę 17 metrów przekracza wielu zawodników. Rosjanin Saniejew, Brazylijczyk Prudencio, Włoch Centile sięgają po medale. Dotychczasowy mistrz, dwukrotny zdobywca złotych medali na Olimpiadach w Rzymie i Tokio, niezapomniany Józef SZMIDT — już się w tym zmaganiu nie liczy. Jednak tysiące ludzi na stadionie i miliony przed telewizorami śledzą uważnie byłego rekordzistę świata. Przyglądają się też uważnie olbrzymiemu bandażowi, krępującemu mięśnie osłabione kontuzją i długą chorobą.

Szmidt wie dobrze, że tym razem nie zajmie miejsca na podium zwycięzców, że nie zagrają dla niego Mazurka Dąbrowskiego, nie wciągną flagi na maszt i nie zawieszą medalu na piersiach. A mimo tu rusza do krótkiego rozbiegu z siłą mogącą kruszyć kamienie i odbija się od elastycznego tartanu z takim samym uporem jak w Tokio. Wtedy również był po kontuzji, po szpitalnym leczeniu i wygrał. W Meksyku, starszy o cztery lata, musiał się ugiąć przed młodszymi, ale nie bez walki. Dlatego nie rezygnował ze skoków, nie podnosił rąk w geście kapitulacji. W olimpijskim boju chciał jakoy przypomnieć stare greckie tradycje, nakazujące wojownikom wracać z bitew z tarczą albo na tarczy. Nigdy zaś bez tarczy. Powrót z tarczą oznaczał zwycięstwo. Powrót na tarczy był śmiercią. Powrót bez tarczy, porzuconej w ucieczce, świadczył o tchórzostwie. W Grecji ceniono zwycięzców i pokonanych, ale nie tych, którzy się poddawali.

W sytuacji beznadziejnej Józef Szmidt wcale się nie załamał. Skakał daleko. Zapomniał o kontuzji, bólu. Przez godzinę, dwie, był znowu sportowcem o żelaznej woli, dążącym do zwycięstwa.

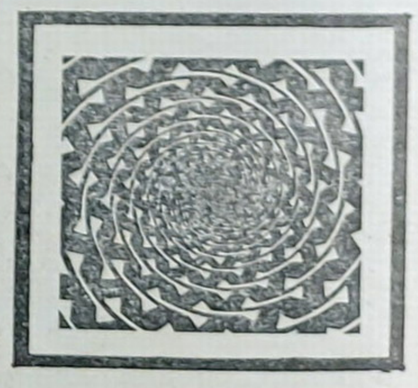

4 Figura powyższa: to jedna spirala, ... figura zbudowana jest ze współśrodkowych kół, ... a może składa się z kilku spirali? .....

Trwa ekspedycja pionierów ZSRR — „Wierni wskazaniom Lenina"

„CZERWONI TROPICIELE"

W ARCHIWUM Instytutu Marksizmu - Leninizmu w Moskwie leżał od lat dobrze już pożółkły, cienki zeszyt uczniowski, zatytułowany „Dziennik dla Iljicza". W środku znajdowały się listy uczniów jednej ze szkół, pisane w 1924 roku pod wrażeniem śmierci Włodzimierza Lenina. Znajdowały się pod nimi podpisy uczniów, zabrakło jednak wskazówek dotyczących adresu szkoły. Chociaż właściwie była jedna...

Któryś z piszących użył zwrotu: „U nas w Sibfarforie..." Skrót ten oznaczał jakąś położoną na Syberii fabrykę porcelany. Ale jaką? Wśród znanych obecnie zakładów produkujących porcelanę „Sibfarfor" nie figurował w żadnych spisach. Pracownicy Muzeum Lenina w Moskwie zastanawiali się więc, z jakiej miejscowości może pochodzić ten dziennik.

Wreszcie zwrócono się z tą sprawą do grup „krasnych sledopytów", czyli „czerwonych tropicieli". Takie grupy zajmujące się zbieraniem materiałów historycznych powstały przed kilkunastu laty przy wielu szczepach pionierskich z inicjatywy pionierów Leningradu i ich gazety „Leninskiej Iskry".

Apel spotkał się z natychmiastowym odzewem. »„Sibfarfor" znajdował się w naszej miejscowości — napisali „tropiciele" z Miszelowki w okręgu irkuckim. Teraz ten kombinat porcelany nazywa się „Hajta", od rzeczki o tej samej nazwie«.

Odnaleziono niektórych autorów wpisanych do dzienniczka listów. Michał Żarow, który wtedy na gorąco, na wieść o śmierci Lenina pisał: „Śpij spokojnie, nie zapomnimy Ciebie i Twojej idei, pozostaniemy wierni Czerwonemu Sztandarowi"... — poległ w czasie drugiej wojny światowej śmiercią bohatera. Wienia Rybakow jest nauczycielem w sąsiedniej szkole i często opowiada dzisiejszym pionierom, jak to kiedyś, w tamtych latach w organizacji pionierskiej bywało...

Obecnie wszystkie grupy „czerwonych tropicieli" aktywnie uczestniczą w pionierskiej ekspedycji pod hasłem: „Wierni wskazaniom Lenina", zbierają materiały związane z Leninowskim Jubileuszem. Dzięki nim przede wszystkim wzbogacają się o coraz to nowe eksponaty szkolne muzea leninowskie.

W Charkowie odnaleźli np. Leona Baraca, w tamtych latach młodego technika-drogowca, kierownika transportu ogromnego kamiennego bloku, z którego zbudowano, odwiedzane przez miliony ludzi, Mauzoleum Lenina w Moskwie. Przez zmarznięte bagna na platformie na płozach, pokonując codziennie zaledwie 2 km, dowieziono blok z kamieniołomów, do stacji Gorbaszi, skąd już pociągiem pojechał dalej do Moskwy. Leon Barac opowiadał o tym na zbiórce drużyny, a zapisane przez pionierów wspomnienie znalazło się w szkolnym muzeum.

Niektórzy „tropiciele" organizują dalsze wyprawy. Dziewczęta i chłopcy z Wiesiołojarska w Ałtajskim Kraju odwiedzili syberyjską wieś Szuszenskoje, gdzie Lenin przebywał na zesłaniu. W domu, w którym mieszkał oglądali jego meble zachowane do dziś dnia, rozmawiali z Anną Siemienowną Seredkinną, która zamieszkiwała w tamtych latach w tym samym domu.

Najbardziej pomysłowe eksponaty przywieźli sobie z takich wypraw pionierzy ze wsi Podbierezowcy w okręgu lwowskim. Ich muzeum — to właściwie ogród. Rośnie w nim brzoza z Razliwu, ozdobne krzewy z Uljanowska, kasztany i akacje z miast-bohaterów w ZSRR.

Dzięki pracy „czerwonych tropicieli" niektóre szkolne muzea stały się tak bogate, że organizują wystawy objazdowe. Muzeum Winnickiej szkoły-internatu, w którego zbiorach znajdują się nawet pierwsze numery leninowskich gazet — „Iskry" i „Prawdy", pionierzy na Ukrainie nazwali „muzeum na kółkach".

2 października — w rocznicę historycznego przemówienia Lenina do komsomolców, w którym mówił o zadaniach związków młodzieży — odbył się Wszechzwiązkowy Radiowy Apel Pionierów. Wszystkie drużyny zgromadziły się przy odbiornikach radiowych. Po wysłuchaniu audycji oceniono w drużynach przygotowania do wielkiego Jubileuszu. „Czerwoni tropiciele" mieli się czym pochwalić.

OLGA REPINA

ZWYCIĘSTWA

Pod wiatr

Prawie pewny kandydat do złotego medalu na Mistrzostwach Europy w Atenach w roku 1969, Zenon NOWOSZ, sprinter mający przedłużyć zwycięskie biegi Mariana FOIKA i Wiesława MANIAKA, nie wszedł nawet do finału 100 metrów. To go zupełnie załamało. Wysoki, szczupły, lżejszy od innych nie był w stanie przedzierać się pod wiatr, dmuchający od morza. Ale w chwili rozpamiętywania porażki Nowosz przypomniał sobie o dwustu metrach. Nie był wprawdzie przygotowany do biegania na dystansie 200 m, ale mimo to postanowił spróbować.

Minęły eliminacje, półfinał i oto przed Polakiem otwarła się nieoczekiwanie droga do punktowanego miejsca w finale. Większych szans na medal nie było. Nowosz postanowił jednak walczyć. Z bloków startowych wyszedł idealnie w tym samym ułamku sekundy co przeciwnicy. Zamiast rozkładać siły, tak by nie stracić ich przed metą, rzucił je od razu na jedną szalę. Jedynie natychmiastowy atak mógł zakończyć się powodzeniem. Na finiszu Nowosz słaniał się na nogach. Miał jednak brązowy medal. Nikt na niego nie liczył. Nowosz przegrał przecież sromotnie na 100 metrów, a na 200 m nie był zupełnie brany w rachubę.

*

WOLA ZWYCIĘSTWA? Co to jest? — Takie pytanie nadesłano do Harcerskiej Akademii Olimpijskiej. Ja mam na nie odpowiedź.

Może najpierw wyjaśnię, co oznacza słowo WOLA. Właściwie nic innego, jak świadome dążenie do wytkniętego celu, bez względu na trudności i przeszkody. Do celu można zmierzać nie tylko w sporcie. Cele wytycza się w nauce, w pracy, w badaniach naukowych. Wola Zwycięstwa będzie zatem chęcią, postanowieniem zwyciężania. Chyba także nie tylko w sporcie. Wola zwycięstwa charakteryzuje ucznia pragnącego polepszenia stopni z języka polskiego, matematyki i niestającego w dążeniu do celu, pomimo różnych kłopotów. Wolę zwycięstwa ma każdy badacz naukowy, każdy człowiek, chcący zrobić coś w życiu dla siebie i innych. Z pewnością Wolę Zwyciężenia posiadali zdobywcy biegunów: Amundsen, Scott, Peary, Nansen, nie lękający się mrozów i wichrów północy i południa, konstruktorzy lotniczy, wielcy fizycy, wszyscy, o których się uczymy.

Określenie WOLA ZWYCIĘSTWA jest może najpopularniejsze w sporcie. Jeżeli piłkarze wygrają niespodziewanie mecz międzypaństwowy — jak niedawno z Bułgarią — to wtedy pisze się o ich woli zwycięstwa. Ja jednak myślę, że wola zwycięstwa musi się jeszcze łączyć z pewnymi umiejętnościami; wiedzą, sprawnością zdobytą w szkole albo na sportowym boisku. Zbigniew Makomaski, Józef Szmidt, Zenon Nowosz, choćby mieli najsilniejszą wolę zwycięstwa, nie mogliby odnosić sukcesów bez treningu, bez pracy. O tym warto pamiętać. Wola zwyciężania jest wspaniałą cechą, ale daje efekty w połączeniu z wiedzą i pracą. Inaczej nie ma zwycięstwa. Mówili mi to zawodnicy, znakomici sportowcy, właśnie ci, o których napisałem i pokazałem ich w różnych sytuacjach życiowych.

WITOLD DUŃSKI

Foto: M. Świderski i M. Szymkowski

5 Odcinek A—B jest dłuższy. .....
Odcinki A — B oraz A — C są równe. .....
Odcinek A—C jest dłuższy. .....

Zenon Nowosz (pierwszy z prawej) nie załamał się po niepowodzeniu w biegu na 100 metrów.

Na rozbiegu Józef Szmidt, nasz znakomity trójskoczek.

POLSKA WYPRAWA POD ZNAKIEM „PIERZASTEGO WĘŻA"

STATEK POLSKIEJ EKSPEDYCJI

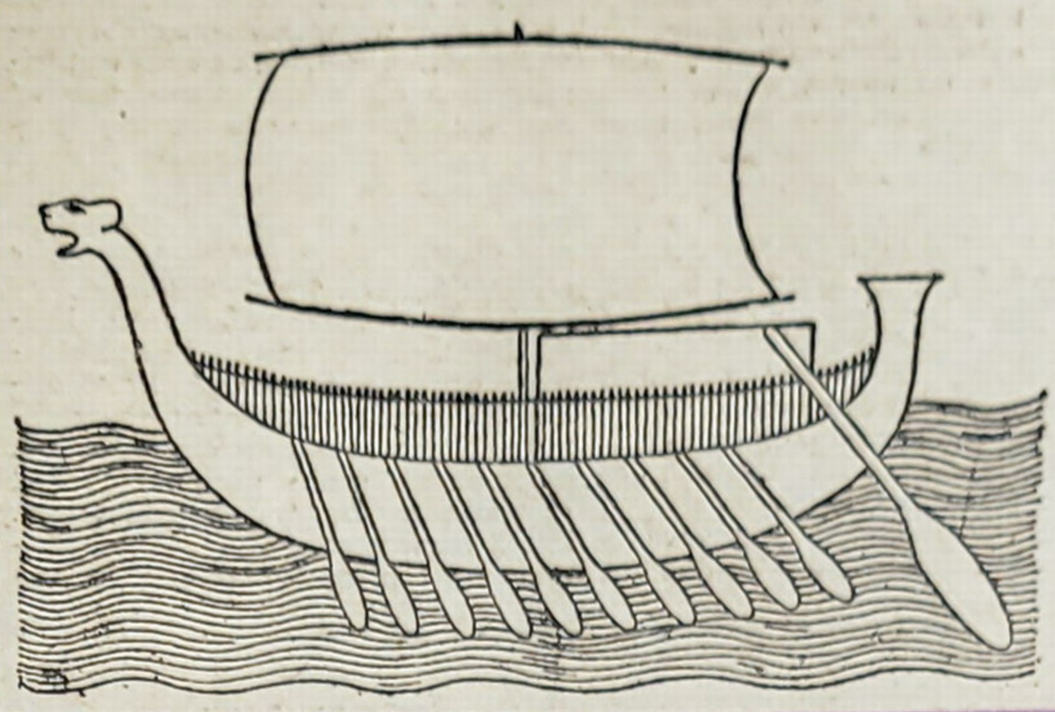

Oto szkic jednostki pływającej, która przewiezie polską wyprawę przez Atlantyk? To już nie będzie łódź, lecz duży drewniany statek (żaglowiosłowiec), którego rekonstrukcja była możliwa dzięki badaniom wizerunków pozostawionych na skałach, grobowcach i świątyniach tamtych czasów. Jego długość przekroczy 20 metrów, szerokość 5, a wysokość 4—5 metrów. Jednostka wyposażona będzie w 10 par solidnych, 3—4-metrowej długości wioseł oraz w dwa większe wiosła służące do sterowania. A co najważniejsze, w olbrzymi prostokątny żagiel. Statek zaopatrzony będzie także w czółna, których konstrukcję stanowi drewniany szkielet obciągnięty skórą. (Takie czółna zachowały się do dziś w Portugalii). Na pokładzie znajdować się będzie kajuta i ławki dla wioślarzy. Pod pokładem balast. Załoga liczyć będzie 20 osób.

AUTOREM projektu statku, na którym wyruszyć ma polska wyprawa — jest pracownik naukowy Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN — archeolog, dr Zygmunt Krzak. Jest on także jednym z naukowców mających zamiar uczestniczyć w wyprawie.

— Nasza wyprawa — mówi doktor Zygmunt Krzak — ma udowodnić, że możliwe było nie tylko jednorazowe przepłynięcie przez Atlantyk, bo to przy sprzyjającym tu żeglarzom prądzie Kanaryjskim nie jest znów takim wyczynem. **Chcemy dopłynąć na dużej jednostce zbudowanej według najwyższych ówczesnych możliwości techniki, z dużą załogą i zapasami żywności... A także możliwie szybko.** Mamy przecież udowodnić, że mogły się w Meksyku osiedlić duże grupy prehistorycznych kolonizatorów. I tym różni się nasz projekt od zamierzeń uczestników wyprawy łodzią „Ra"

— Wyruszamy już w styczniu 1971 roku z Maroka, bo wtedy wieją sprzyjające wiatry i mniej sztormów może nas zaskoczyć. Podróż, której celem będzie osiągnięcie brzegów Meksyku — gdzie przeprowadzimy badania naukowe — potrwa, jak przewidujemy, 2-3 miesięcy, najwyżej 100 dni. (Rekordowy czas pokonania odległości z Europy do Ameryki Północnej na nowoczesnych jachtach wynosi 12 dni i 4 godziny).

Czy przewiduje się udział kobiet?

— Niestety, nie. Chociaż ja nie byłbym temu przeciwny. Przecież, jeśli miały to być podróże związane z osiedlaniem dużych grup ludności, to kobiety na pewno też brały w nich udział.

Jakimi środkami nawigacyjnymi będziecie dysponować?

— Prehistoryczni żeglarze nie znali mapy ani kompasu. Orientowali się tylko według gwiazd. Mamy nadzieję, że i my potrafimy w ten sposób dotrzeć do celu.

Zabierzemy jednak radiostację, tratwy ratownicze i w ogóle pełny zestaw nowoczesnych przyrządów nawigacyjnych i sprzętu ratowniczego. Ale użyjemy go dopiero w chwili ostatecznego zagrożenia. Chodzi przecież o to, aby rzeczywiście przeprowadzić naukowy eksperyment.

A ubranie, żywność?

— Uważam, że nie ma sensu naśladować podróżników sprzed kilku tysięcy lat w dziedzinie ubioru. Owszem, na statku będą maty, skóry kozie i baranie, pledy wełniane, ale całkowite naśladownictwo... Po co?

Jeśli natomiast chodzi o sposób odżywiania to postanowiliśmy, że połowa załogi będzie karmiona tak jak ci, których śladem płyniemy. A więc: suszonym i wędzonym mięsem suszonymi owocami itp. Pozostali raczyć się będą konserwami i innymi XX-wiecznymi środkami spożywczymi.

Ale jedni i drudzy napiją się od czasu do czasu czerwonego wina, znanego już przedstawicielom kultury wielkich budowli kamiennych.

Kto podejmie się budowy statku?

— Już zdecydowano. Statek zbuduje według dokładnego projektu i dokumentacji — Stocznia Szczecińska.

*

Myślę, że wyrażę prośbę wszystkich naszych czytelników, jeśli poproszę Pana Doktora o informowanie nas na bieżąco o losach wyprawy. A kiedy już podniesiecie kotwicę, towarzyszyć Wam będą nasze gorące życzenia sprzyjających passatów na całym atlantyckim szlaku.

TERESA DROGA

KIM BYLI PIERWSI ODKRYWCY AMERYKI

NORWEG — profesor Broegger — już w 1936 roku napisał, że układ wiatrów i prądów morskich **„czyni praktycznie nieuniknionym odkrycie Ameryki Środkowej z portów hiszpańskich i portugalskich, z chwilą gdy żeglarze raz odważyliby się wypłynąć na szerokie wody".**

Wyprawa Thora Heyerdahla łodzią „Ra" skończyła się niepowodzeniem. **Próbę ponownego eksperymentalnego udowodnienia, że na długo przed Wikingami i Kolumbem możliwe były kontakty między kulturami Starego i Nowego Świata, mają zamiar podjąć tym razem... Polacy:** naukowcy (archeolodzy, antropolodzy) i żeglarze. Akcję zainicjowała redakcja tygodnika „Kulisy". W przeciwieństwie do wyprawy łodzią trzcinową (która musiała po jakimś czasie utonąć z powodu nasiąknięcia wodą). **nasza wyprawa ma wszelkie szanse powodzenia.**

Dziś mamy pewność co do jednego: otóż praprzodkowie Indian przedostali się do Ameryki drogą północną z Azji poprzez zamarzniętą Cieśninę Beringa z końcem ostatniego zlodowacenia. Byli to przedstawiciele rasy żółtej, którzy zasiedlili stopniowo cały kontynent.

Jednakże młody polski naukowiec antropolog, doc. Andrzej Wierciński, przeprowadzając od 1962 roku badania nad wykopaliskami w Meksyku, zauważył tam obecność czaszek, które niewątpliwie należały do białych i czarnych przedstawicieli rasy!

Skąd mogli wyruszyć przed tysiącami lat biali i czarni odkrywcy Ameryki?

Otóż prawdopodobnie właśnie z terenów północno-zachodniej Afryki i dzisiejszej Hiszpanii.

Przez trzy tysiąclecia (od czwartego do drugiego przed naszą erą), a w basenie Morza Śródziemnego aż po czasy rzymskie, rozwijała się architektura związana z wielkimi budowlami skalnymi, które z grecka nazywały się „megalitami". Grecy, którzy nie potrafili inaczej wytłumaczyć wielkich kamiennych budowli, wiązali je z działalnością rasy gigantów. Ta wspaniała kultura, której drugą ważną cechą był rozwój metalurgii, rozprzestrzeniła się na północ, aż po Wyspy Brytyjskie, na południe aż do Afryki. Na wschodzie sięgała aż do wybrzeży Pacyfiku. Na zachodzie zaś jej wpływy dotarły aż do brzegów kontynentu amerykańskiego — oczywiście drogą morską przez Atlantyk.

Czy owi przedstawiciele cywilizacji „megalitycznej" i „odkrywcy" Ameryki wyruszyli w daleką podróż w nieznane w poszukiwaniu przygód i skarbów? Czy też zmuszeni zostali do tego przez najeźdźców? Tego nie możemy stwierdzić. Ale niewątpliwie ich wyprawy wymagały większej odwagi niż podróż Kolumba, który wiedział już, że Ziemia jest okrągła i że w końcu statkami swymi dopłynie do „Indii".

Quetzalcoatl (wym. Kecalkoatl) — co znaczy „pierzasty wąż", był częstym elementem zdobniczym w budowlach prastarej kultury meksykańskiej. Nazwę tę nosił bóg-kapłan, bóg-człowiek, legendarny wódz, heros, dawca wspaniałej cywilizacji, na cześć którego budowano świątynie. Według mitów meksykańskich miał on postać białego człowieka z czarną brodą. Przypuszcza się, że legenda ta jest śladem pobytu ludzi Starego Świata w Ameryce. (Tubylcy mieli żółtawą skórę i nie nosili zarostu).

Podania głoszą, że człowiek zwany Quetzalcoatlem uczył męstwa, cnoty. Dał przodkom Indian prawa i nauki. Jednak, według staromeksykańskich wierzeń, odszedł potem tam, skąd przyszedł, to znaczy na Wschód. Odchodząc powiedział, że powróci jeszcze kiedyś... Wiara w tę przepowiednię musiała być bardzo silna w XVI wieku, bo kiedy Hiszpanie najechali Meksyk, to władca Azteków — Montezuma — poddał się Cortezowi w przekonaniu, że jest on powracającym brodatym bogiem.

Imię bohatera pięknej legendy nosić będzie statek, na którym Polacy wyruszą przez Atlantyk do Ameryki Środkowej. A jego dziób albo rufę ozdobi symbol herosa-przybysza — **upierzony wąż. (T. D.)**

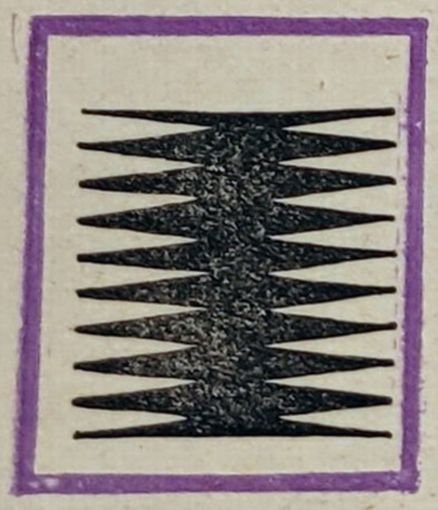

6 Figura ta ma równe boki. .....
Ma większą wysokość. .....
Ma większą szerokość. .....

NAJSTARSZE ŚLADY CZŁOWIEKA W AMERYCE

● Dr Helmut de Terna odkrył w Tepexpan w roku 1947 szkielet człowieka w warstwach pochodzących ze schyłku ostatniego okresu lodowcowego, co wskazywałoby, że człowiek żył tam 11000—12000 lat temu.

● Następne znaleziska, w 1952—1954 roku, przedstawiające kości mamuta bezsprzecznie zabitego lub zarżniętego za pomocą narzędzi z krzemienia i obsydianu (szkliwo wulkaniczne), nasuwają przypuszczenie, że Indianie z okresu paleolitu żyli i polowali na bagnistych terenach otaczających jeziora w okresie od 10 000—9 000 roku przed naszą erą.

● Istnieje prawdopodobieństwo, że szczątki szkieletu kobiety, odkryte w Midland w Texasie, są starsze od „człowieka z Tepexpanu" o 5 tys. lat.

● Metodą węgla promieniotwórczego C_{14} ustalono, że ślady zagrzebanego ogniska pochodzą sprzed 35 000 lat p.n.e.

Tak oto wyglądał odtworzony przez dr Krzaka model łodzi egipskiej „datowanej" — jak mówią archeolodzy — na czwarte tysiąclecie przed naszą erą. Jest to świadectwo bardzo wczesnego zastosowania żagla.

POLSKA PRZEŁĘCZ W KARAKORUM

WRÓCILI przed kilkoma dniami z twarzami ogorzałymi od azjatyckiego słońca i brodami, które wyrosły im w ciągu pięciomiesięcznej podróży i wysokogórskiej wspinaczki. Mają na koncie zdobycie północnego masywu Malubitingu w Karakorum (Pakistan) i dwadzieścia tysięcy kilometrów na liczniku „Nysy".

„Świat Młodych" wysłuchał opowiadania jednego z czterech uczestników polskiej wyprawy w Karakorum, **inż. Andrzeja Kusia. Pan Andrzej jest inżynierem mechanikiem, alpinistykę uprawia od 10 lat. Zna Alpy, turecki Kurdystan, biblijny szczyt Ararat; góry Azji nie były dla niego nowością. Jak się w toku rozmowy okazało, inżynier włada: angielskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim, serbo-chorwackim, a także może się „dogadać" w kilku innych językach!**

— Moją pasją — mówi — oprócz „chodzenia" po górach są podróże, stąd znajomość języków...

„Nysą" do Azji

Wyruszyliśmy z Polski w lipcu „Nysą-501" przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Bułgarię, Turcję Iran, Afganistan do Pakistanu.

Po przekroczeniu granicy tureckiej otworzyły się przed nami wrota Azji. Bosfor przebyliśmy promem łączącym obie części Istambułu i znaleźliśmy się na szosie, wprawdzie urządzonej na sposób europejski, ale używanej w specyficzny sposób... Kto ma silniejsze światła, większy samochód i więcej koni mechanicznych, ten ma przewagę, ten jedzie! Na irańskich szosach nie ma na przykład zwyczaju przygaszania świateł podczas mijania. Nasza dzielna, wspaniale spisująca się „Nysa" i siedzący za kółkiem Roman Petrycki — operator TV, radzili sobie doskonale, choć bez przerwy oślepiały nas reflektory wielkich ciężarówek.

Cel wyprawy — góry Karakorum — daleko, zależało nam więc na pośpiechu. Kontynentalny klimat dawał się we znaki; czasem i w nocy temperatura była nieznośnie wysoka! Niekiedy szukaliśmy krótszych dróg — jedna wypadła przez Wielką Pustynię Słoną. Tu wytrzęsło nas porządnie! 700 km powierzchni pofalowanej jak ręczna pralka — wydawało się, że pogubimy śruby z samochodu i — jak żartował kolega Szafirski, kierownik ekipy — ...plomby z zębów.

Co kraj to obyczaj

W Afganistanie zaskoczył nas widok żołnierzy „króla-towarzysza" (jak mówią Afgańczycy o Mohammedzie Zahir Szachu) pobierających za przejazd opłatę, czyli myto.

W Turcji i Iranie widzieliśmy, jak ciężko muszą pracować dzieci... Mali chłopcy czyszczą buty, roznoszą herbatę — powszechny w tym rejonie napój, popijany o każdej porze dnia nie tylko w czajhanach — herbaciarniach Mieliśmy ze sobą prospekty, znaczki; sporo ich zostawiliśmy po drodze, właśnie w rękach dzieci, które z ciekawością otaczały nasz zakurzony samochód z obcymi dla nich znakami rejestracyjnymi.

Mimo ogromnego postępu cywilizacji, poczynając od Turcji kobiety powszechnie jeszcze noszą zasłony na twarzach. Barwny strój i czadra na twarzy, przysłaniająca nawet oczy patrzące przez rodzaj siateczki, robią nie najlepsze wrażenie... Tylko dziewczęta — uczennice nie noszą zasłon.

Nad Indusem

W Pakistanie zostaliśmy przyjęci bardzo życzliwie. Nasza wyprawa rekonesansowa otrzymała oficjalne zezwolenie Pakistanu w rekordowo krótkim czasie paru miesięcy. Jest to sukces polskiej placówki dyplomatycznej w Islamabadzie. Włosi w tej samej sprawie pertraktowali aż trzy lata!

Dostaliśmy oficera łącznikowego, kapitana Intiaz Ahmed Khana, i rozstaliśmy się na razie z naszą „Nysą". Do Skardu leżącego u stóp Karakorum mieliśmy lecieć samolotem. Oczekiwanie na lot przedłużyło się do trzech tygodni.

Raz byliśmy już w samolocie, który uniósł się w powietrze, a stewardessa powitała pasażerów tradycyjnym „salem aleikum" dodając, że jeśli Allach pozwoli, samolot wkrótce wyląduje w Skardu. Allach jednak nie pozwolił! Samolot zawrócił na lotnisko... Jeszcze trzy dni minęły zanim pogoda okazała się stosowna do odbycia lotu.

Obóz I, na wysokości 4.700 m, pora posiłku. Odwrócony tyłem inż. Zygmunt Heinrich, obok operator TV Roman Petrycki. Polacy korzystali ze sprzętu alpinistycznego produkcji krajowej, który spisał się bardzo dobrze.

Po powrocie z gór — pamiątkowa fotografia w naszej ambasadzie w stolicy Pakistanu. Od lewej stoją: inż. Andrzej Kuś, który wam o wyprawie opowiedział, Roman Petrycki — operator TV, I sekretarz ambasady Stanisław Kozłowski, inż. Andrzej Szafirski — kierownik wyprawy, inż. Zygmunt Heinrich, którego azjatyckie słońce chyba najbardziej opaliło...

Doskonale rozumiem ostrożność pakistańskich linii lotniczych. Lot do Skardu odbywa się nad doliną rzeki Indus, rozgraniczającą łańcuch Himalajów od Karakorum, pomiędzy niebotycznymi szczytami gór. Przy takim locie widoczność musi być idealna. Jest to chyba najtrudniejsza linia lotnicza świata!

Długa Lodowa Dolina

Nasi tragarze, których najęliśmy do transportu bagaży, mówili dialektem tybetańskim. Kapitan-łącznik porozumiewał się z nimi z trudem. O wygolonych nad czołami włosach, czarnych i długich na reszcie głowy, w okrągłych małych filcowych czapeczkach prezentowali się dość barwnie, ale w efekcie musieliśmy sami dźwigać bagaże, ponieważ tragarze odmówili nam swojej pracy już po kilku godzinach marszu... We czterech było nam naprawdę ciężko.

Byliśmy pod lodowcem Czogolungma, co w języku Bałtów, zamieszkujących tę część Kaszmiru, znaczy „długa lodowa dolina". Jest to 30 km spękanej skały i lodu. U stóp lodowca znajduje się ostatnia wioska, a wyżej dolina porośnięta wikliną, srebrzystą brzozą i kaszmirską tują. Drzewo tuji jest wielkim dobrodziejstwem dla pasterskich osad.

Mieszkańcy hodują tu bydło (skrzyżowanie jaka i krowy) zwane gzo, które w górach przebywa aż do pierwszych śniegów, bardzo na tym terenie obfitych. Pasterze robią sery i masło — z dodatkiem mąki. Stanowią one podstawowe ich pożywienie. Myśmy także bardzo zasmakowali w miejscowych plackach, zwanych ciapatami. Kierownik wyprawy tak się wyspecjalizował w ich przyrządzaniu, że ciapaty jego produkcji były smaczniejsze od pieczonych i smażonych przez mieszkańców wioski!

Polska Przełęcz

Prawdziwa górska wyprawa rozpoczęła się od założenia pierwszego obozu w Polichar. Nie będę opowiadał o szczegółach wspinaczki, lecz o jej wyniku.

Otóż po pokonaniu górnego piętra lodowca Czogolungma, przebyliśmy nie znaną do tej pory przełęcz na wysokości 5 840 m, nadając jej imię: **Polska Przełęcz** (Polish Pass). Nazwa ta zostanie, jak sądzimy, na zawsze w Karakorum.

Wspominałem o życzliwości pakistańskich władz i dużym zainteresowaniu naszą wyprawą. Oto każdego dnia po godzinie 20 czasu miejscowego odbieraliśmy w radio specjalnie dla nas nadawany komunikat meteorologiczny!

Komunikaty meteo nie przewidziały jednak (nasz Wicherek też błądzi...), że w górach na wysokości ponad 7 000 metrów zaskoczy nas śnieżyca i potężny mróz!

Po zdobyciu „dziewiczego" szczytu północnego Malubitingu — wysokość 6 843 m (cały masyw ma cztery wierzchołki) w dniu 8 października pogoda przestała nam sprzyjać. W drodze na najwyższy szczyt (7 459 m) zaczął sypać śnieg; musieliśmy się wycofać. Nie odnajdywaliśmy własnych śladów, tak dokumentnie zasłał je biały puch. Pośpiesznie zeszliśmy do obozu i z trudem odgrzebaliśmy spod śniegu nasz namiot. Temperatura wynosiła —34°C, mimo puchowych śpiworów marzliśmy nieźle.

Na dole nie było o nas żadnych wiadomości, toteż 30 października dotarliśmy z powrotem do Skardu, a kilka dni później do Rawalpindii, pakistańskie gazety zamieściły nasze zdjęcia i obszerne informacje o wyprawie. Pewien japoński alpinista odbył specjalną podróż do Pakistanu, aby bezpośrednio od nas zasięgnąć języka o warunkach wspinaczki w masywie Malubiting.

Reportaże filmowe naszego kolegi na pewno będą się podobały, bo i droga powrotna, którą odbyliśmy również niezawodną „Nysą", została uwieczniona na filmach.

Z inż. Andrzejem Kusiem, członkiem Klubu Wysokogórskiego

rozmawiała
ANNA GRZYBOWIECKA

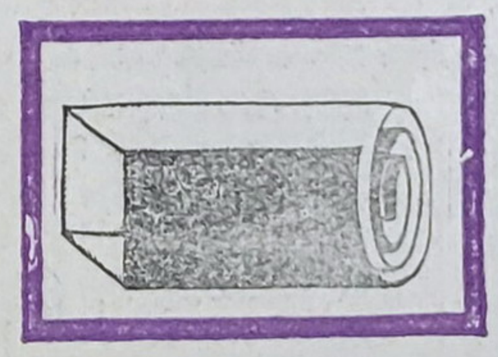

7 Taki model da się wykonać z papieru .....

Taki model da się wykonać ze szkła .....

Takiego modelu nie da się wykonać .....

Wydarzenie to miało miejsce 30 czerwca 1908 roku. Jego świadkami byli liczni mieszkańcy małych osiedli i miasteczek Środkowej Syberii, jak również pasażerowie kolei transsyberyjskiej. Według ich ówczesnych relacji, najpierw na niebie ukazała się jasna plama — jakby spadająca gwiazda — która ciągnęła za sobą jasną smugę...

TAJEMNICA

METEORYT CZY KATASTROFA STA

ŚWIATŁA LASEROWEGO Z PLANE

DZIEŃ był wyjątkowo pogodny i słoneczny. Około 7 rano na jasnym niebie pojawiła się mała gwiazdka. W pierwszej chwili nie wzbudziła ona większego zainteresowania pasażerów pociągu. Tymczasem „gwiazda" zbliżała się do ziemi, przecinając ukośnie niebo i zostawiała za sobą jasną smugę. Dopiero potem ludzie zaniemówili z wrażenia. Patrzyli jak urzeczeni na to niezwykłe zjawisko.

Ognista kula zbliżała się do horyzontu. Nagle powietrzem targnęły potężne wybuchy. Niesamowity huk usłyszano w promieniu kilkuset kilometrów.

★

Tajemnicza ognista kula, która przyleciała „z nieba", spadła na Syberii w pobliżu rzeki Chuszmy, dopływu Podkamiennej Tunguski, będącej z kolei dopływem potężnego Jenisieja. Myśliwi — Tungusi i Ewenkowie, którzy widzieli z pewnej odległości pędzącą kulę — opowiadają, że nad tajgą przeleciał „czort", połamał lasy, wybił zwierzynę i popalił całe stada reniferów.

Mieszkańcy Kiereńska nad Leną widzieli — w odległości 450 km — ogromny słup dymu. Żeby go można było z Kiereńskiego zobaczyć, dym musiał się wznieść na wysokość co najmniej 20 km.

W Wanawarze, niewielkim osiedlu oddalonym o 60 km od miejsca wybuchu, potężna fala powietrza spowodowała wiele zniszczeń. Mieszkańcom wydawało się, że ogień objął przez chwilę połowę nieba.

Wybuch widziano również w innych osiedlach nad Tunguską, a nawet w kopalniach złota nad Leną, w odległości setek kilometrów.

Tego pamiętnego dnia precyzyjne przyrządy pomiarowe — barografy i sejsmografy, odnotowały syberyjski wstrząs dosłownie na całym świecie: w Petersburgu, Kopenhadze, Taszkiencie a nawet w Waszyngtonie. Fala podmuchu okrążyła całą kulę ziemską i po 30 godzinach powtórnie została zarejestrowana w Poczdamie pod Berlinem.

Jak twierdzą uczeni, tego rodzaju wstrząs obserwowano tylko jeden raz, w roku 1883, kiedy to wybuchł wulkan Krakatau, pogrążając całą wyspę w falach oceanu.

*

A co się stało w miejscu samego wybuchu?

Pierwszym uczonym, który zobaczył to miejsce, był L. A. Kulig, współpracownik Akademii Nauk ZSRR. Było to w roku 1920, a więc w 12 lat po tym tajemniczym wydarzeniu. Profesor Kulig zorganizował wówczas pierwszą ekspedycję naukową, która miała za zadanie wyjaśnić tajemnicę wybuchu.

Przedzierając się przez trudną do przebycia tajgę, przez gęste zarośla leśne, przez bagna i błota, wśród chmur dokuczliwych owadów, naukowcy docierają wreszcie do miejsca katastrofy tajemniczego ciała. Jakież było zdziwienie badaczy, kiedy zobaczyli na przestrzeni dziesiątków kilometrów kwadratowych ogrom zniszczeń. Jak okiem sięgnąć, drzewa leżały powalone, jakby skoszone jednym potężnym cięciem. Gałęzie drzew spalone, a pnie opalone na głębokość 2 cm. Góry i pagórki zupełnie wylysiały.

Mimo tak ogromnych zniszczeń „sprawcy" tej katastrofy nie znaleziono. Ognista kula, która wybuchła nad tajgą, zniknęła jak kamfora.

W latach późniejszych prof. Kulig zorganizował kolejne wyprawy nad rzekę Podkamienną Tunguskę, lecz i wówczas niczego nowego nie odkrył. Trudny, niedostępny teren utrudniał poszukiwania. Stwierdzono jedynie (przy pomocy zdjęć lotniczych), iż były właściwie dwa ośrodki wybuchu. Odkryto ponadto kilkanaście lejów, o średnicy od 10 do 50 metrów, wypełnionych błotnistą wodą i to wszystko.

★

Cóż się właściwie wydarzyło owego pamiętnego ranka, 30 czerwca 1908 roku?

Większość uczonych twierdzi, że tego dnia spadł na Syberię potężny meteoryt. Podobne zdarzenia mają miejsce na Ziemi dość często i nie ma w tym nic niezwykłego. Meteoryt tunguski jest jednak wyjątkiem, chociażby ze względu na rozmiary zniszczeń spowodowanych jego upadkiem. Osobiście również przychylam się do tych twierdzeń. Pytano mnie kiedyś, dlaczego w takim razie nie znaleziono pozostałości po tym meteorycie? Cały nie mógł się przecież spalić w atmosferze. Na miejscu upadku powinna pozostać masa żelaza, a tej, jak dotychczas, nie odnaleziono.

Dlaczego?

Odpowiem krótko: **po pierwsze:** — meteoryt lub odłamki meteorytu mogą leżeć bardzo głęboko, w grząskim gruncie; **po drugie:** meteoryt tuż nad powierzchnią ziemi mógł eksplodować, rozlatując się na tysiące drobnych okruchów. W jednym i w drugim przypadku tłumaczenie jest może nieatrakcyjne, ale najbardziej prawdopodobne.

STANISŁAW WIRSKI

To był METEORYT

Tak wygląda miejsce katastrofy w tajdze, potężny las powalony został na przestrzeni dziesiątków kilometrów kwadratowych.

ToMiK

GŁOS MA PREZES

Niemal od początku istnienia ToMiK-a otrzymywałem od Was listy dotyczące meteorytu tunguskiego. Między innymi o wyjaśnienie tej zagadki prosili: Marek Rużyło z Lublina, Sławomir Gubica z Łodzi, Jerzy Uruszczak z Krakowa...

Problemem tym pasjonują się również nasi redakcyjni koledzy. Mogę Wam nawet powiedzieć, iż w redakcji powstały dwa obozy — jedni twierdzą, że 30 czerwca 1908 roku nad Środkową Syberią spadł wielki meteoryt, inni, że była to katastrofa statku kosmicznego, który rzekomo przybył na naszą Ziemię z Wszechświata. Podobny spór trwa wśród naukowców wielu krajów.

Kto ma rację? Sam nie potrafię rozstrzygnąć. Dlatego też ogłaszam dziś wielką publiczną dyskusję na ten niewątpliwie pasjonujący temat. Na początek głos oddaję moim kolegom z redakcji, redaktorom: Stanisławowi Wirskiemu i Zbigniewowi Pawłowskiemu. Reprezentują oni dwa przeciwstawne stanowiska.

Jednocześnie zapraszam wszystkich do udziału w tej dyskusji. Mam nadzieję, iż wspólnie uda nam się dojść do jakiegoś kompromisowego rozwiązania tej zagadki, a przynajmniej przedstawić aktualny stan wiedzy o zjawisku znad Podkamiennej Tunguski.

Prezes ToMiK-a
ST. BOROWIECKI

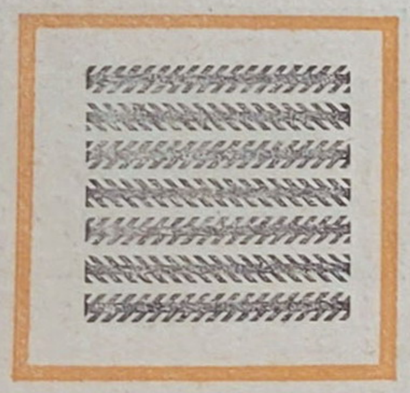

8 Poziome ząbkowane linie:
są wszystkie równoległe do siebie .....
są równoległe parami, co druga .....
są rozmieszczone chaotycznie .....

A SYBERYJSKIEJ TAJGI

TKU KOSMICZNEGO? WYBUCH GAZU ZIEMNEGO CZY IMPULS

TY W GWIAZDOZBIORZE ŁABĘDZIA?

Rys. W. Lewiński

Przybysze z KOSMOSU

JESTEŚMY sami w przeogromnej przestrzeni kosmosu? Czyżby poza naszą planetą — inne były martwe i zimne jak Księżyc? Nie bardzo odpowiada nam taka teoria...

Dyrektor największego w świecie radioteleskopu w Jodrell Bank — Bernard Lovell — udzielając niedawno wywiadu dziennikarzom, oznajmił — iż jest absolutnie przekonany o istnieniu w kosmosie planet, na których rozwinęły się cywilizacje, dysponujące techniką, o której my — Ziemianie — nie mamy jeszcze wyobrażenia... Tak powiedział człowiek, który podsłuchuje Wszechświat dniami i nocami. Uczony tej miary nie rzuca słów na wiatr...

Wtedy — w tym pamiętnym dniu, a więc 30 czerwca 1908 roku — na niebie ukazał się jasny obiekt. Nadlatywał od południa, w kierunku północnym. Tak twierdzą świadkowie. Natomiast uczeni, którzy dotarli po latach na miejsce wypadku, są przekonani, że obiekt nadlecieć musiał ze wschodu. Świadczą o tym dziesiątki tysięcy powalonych i osmalonych pni drzewnych. Kto więc ma rację?... Astronom radziecki Zidel uważa, że słuszność jest po obu stronach. Obiekt rzeczywiście nadleciał od południa i kierował się na północ, ale w ostatniej chwili mógł zmienić kurs. Dokonać tego zdołał albo... pilot, bądź automaty...

Nie znaczy to, oczywiście, że wszyscy uczeni są przekonani o katastrofie jakiegoś statku kosmicznego, który nadlatywał nad naszą planetę. Są na ten temat różne hipotezy; że meteor, że kometa, że wybuch gazu ziemnego, że...

Ale oto dalsze fakty, przemawiające za teorią kierowanego obiektu kosmicznego.

...Najpierw ujrzano oślepiający obiekt, potem kilkakrotnie głośny wybuch, wreszcie słup ognia i dymu, który uformował się w wielką dziwną chmurę. (Tak głoszą niektóre relacje naocznych świadków).

W tym czasie ludzkość nie znała jeszcze wybuchów atomowych... Miała je poznać czterdzieści lat później... Bomby atomowe, które spadły na Hiroszimę i Nagasaki, też uformowały charakterystyczną chmurę w kształcie grzyba, a fala uderzeniowa działała ze straszliwą mocą... Zniszczyła i spaliła wielkie miasta... Ponad centrum wybuchu (epicentrum) pozostały szkielety domów... W tajdze ponad epicentrum pozostały sterczące, nagie, osmalone pnie drzew...

Zachowały się do dziś barogramy wybuchu nad syberyjską tajgą, zarejestrowane w obserwatorium w Greenwich... Analiza tych wykazów przypomina wybuchy atomowe, przeprowadzane 5 km pod ziemią...

Cóż — takie są fakty... Rzecz jasna, nie spadła wtedy bomba atomowa... Ale mogła nastąpić awaria reaktorów atomowych jakiegoś zbliżającego się do naszej planety statku kosmicznego?

W takim razie dzisiejsze aparaty pomiarowe powinny wykryć promieniowanie radioaktywne w miejscu wypadku...

Latem 1967 roku na miejscu wypadku bawiła ekipa naukowców ze Zjednoczonego Instytutu Badań Jądrowych w Dubnej (ZSRR). Kandydat nauk fizycznych, Włodzimierz Mechedow, zajął się przede wszystkim powalonymi pniami drzew... Może uda się, badając w laboratorium ich osmalone resztki, stwierdzić radioaktywność?... Profesor Mechedow wydał opinię twierdzącą... Taką radioaktywność da się wykryć!

I jeszcze jedna teoria... A może w atmosferę naszą wtargnął ziepek kosmicznej antymaterii? Przy jego zetknięciu z ziemską materią powinna była nastąpić anihilacja, czyli wzajemne zlikwidowanie materii i antymaterii, z jednoczesnym wydzieleniem się energii... Czyżby więc nad syberyjską tajgą nastąpiła katastrofa, spowodowana awarią statku kosmicznego o silnikach napędzanych antymaterią?

Pod taką teorią podpisali się laureaci nagrody Nobla — uczeni amerykańscy: La Paz, Libby i Cohen...

Więc znowu statek kosmiczny — napędzany energią, o której jeszcze nie mamy pojęcia, ale o istnieniu której możemy już mówić, przewidywać, iż może takowa istnieć...

Nie chciałbym, ażebyście absolutnie uwierzyli w teorię katastrofy statku kosmicznego nad Syberią z innej planety, innego układu słonecznego. Przedstawiam wam tylko niektóre hipotezy uczonych. Wnioski wyciągnijcie sami.

Ostatnio pisze się również, że na Ziemię nie spadł ani meteor ani statek kosmiczny, lecz impuls światła laserowego, wysłany przez istoty rozumne, które zamieszkują jedną z planet w Gwiazdozbiorze Łabędzia, oddalonym o przeszło 11 lat świetlnych od Ziemi...

Cóż — kochamy naszą piękną Ziemię. Żyjemy na niej. Czy ktoś tam w kosmosie, jakaś obca cywilizacja — dostrzega nas, wysyła ku nam swoje sygnały, czy nawet obiekty latające?

Podyskutujmy!

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

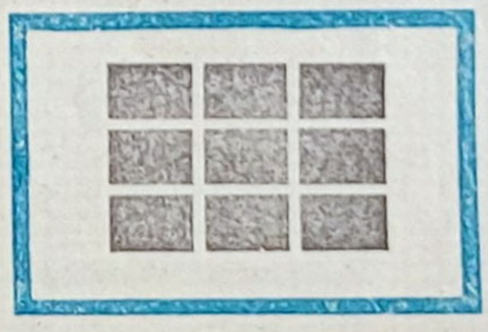

9 Na przecięciu białych linii: widzę migające szare punkty ..... nie widzę nic .....

W górach SKALISTYCH

DECYZJĘ podjęli przed trzynastu laty. Wtedy to To-kan-weh postanowił, że z tymi, którzy pragną żyć w wolności i pokoju, wywędruje w dzikie górskie ostępy, aby tam, z dala od białych, szukać nowych terenów. Za głosem wodza poszło 430 kanadyjskich Indian z plemienia Kri. Po jedenastu latach przygotowań opuścili wyznaczony im rezerwat i powędrowali w kierunku Gór Skalistych.

Zatarli za sobą wszystkie ślady, na dwa lata zniknęli z oczu tzw. cywilizowanemu światu. Na próżno szukali ich dziennikarze kanadyjscy, amerykańscy, japońscy... Dopiero w tym roku, w lecie, odnaleźli ich dwaj reporterzy zachodnioniemieccy — Claus Dieter Bandilla i Walter Schollmayer. Wskazówek, gdzie szukać obozowiska, udzielił im najlepszy znawca Indian w prasie kanadyjskiej, Carol Hogg. U Harolda Cardinala, rzecznika plemion indiańskich przy rządzie kanadyjskim w Ottawie, zaopatrzyli się w list polecający do To-kan-weha.

„JESTEŚCIE NIEPOŻĄDANI..."

Z miasta Calgary w stanie Alberta obaj dziennikarze wyruszyli w kierunku północnym autostradą Alasca Highway. W miejscowości Red Deer skręcili na zachód ku masywowi Gór Skalistych. Raz żwirowatą, to znowu piaszczystą, górską drogą, to poprzez błota, które z trudem pokonywał nawet terenowy jeep, dotarli nad Cline River. Tam u podnóża lodowca, na wysokości między trzema a czterema tysiącami metrów nad poziomem morza, kończyła się droga, a zaczynały bezludne, wyżynne obszary, rozciągające się między Górami Skalistymi a Nadbrzeżnymi, zwane tu Plains. Gdzieś w tych okolicach powinno było się znajdować obozowisko plemienia Kri. Ale gdzie?

Zaczęły się żmudne dni poszukiwań. Góry niezbyt gościnnie przyjmowały szukających sensacji przybyszów. Przewalające się po niebie bure chmury przynosiły na przemian to grad, to deszcz ze śniegiem. Porywy wichru gasiły maszynkę spirytusową, posiłki można było gotować tylko w samochodzie. W nocy nawet wełniane śpiwory nie zabezpieczały przed przenikającym zimnem. Wycia wygłodniałych wilków dodawały grozy sytuacji.

Byli już bliscy utraty nadziei na odnalezienie obozowiska, kiedy ujrzeli na łące kilka mustangów. Miały ślady ostróg, musiały więc należeć do ludzi.

Na przełaj przez polanę skierowali się ku lasowi. Niebawem usłyszeli szczekanie psów, ujrzeli smużki dymu między jodłami. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i zza drzew wyjrzały indiańskie „tipi". Samochód otoczyły ujadające psy, a w chwilę później podeszło trzech mężczyzn. Uzbrojeni byli w stare „winchestery" z ręcznie struganymi kolbami. Ich poryte zmarszczkami twarze zdawały się być z kamienia.

— Nikt was tu nie prosił! — oświadczył krótko jeden z czerwonoskórych. — Jesteście niepożądani!

— Czy możemy rozmawiać z wodzem? — podjął próbę nawiązania kontaktu Bandilla. — My...

Stanowczy ruch ręki Indianina przerwał rozpoczęte zdanie.

— Mój ojciec, wódz To-kan-weh nie będzie rozmawiał z białymi. Biali zabrali nam wszystko. Eksploatują skarby naszej ziemi biorąc dla siebie wszystko, a nam nie dając nic. Dolary, które w rezerwacie wypłacał nam ich rząd, nie starczały nawet na zapłacenie podatków. Uciekliśmy tutaj, bo te tereny nie interesują białych. Stąd nie można nic wywieźć. Jesteśmy wolni i nie chcemy mieć nic wspólnego ze złem, które przynoszą biali. Wynoście się!

Wyglądało, że na nic zdały się trudy wędrówki i poszukiwań.

— Mamy przecież list — szepnął Schollmayer.

— Oto list do To-kan-weha — jeszcze raz ponowił próbę Bandilla oddając Indianinowi kopertę.

Czerwonoskórzy porozmawiali chwilę w swoim narzeczu, po czym jeden z nich otwarł drzwi samochodu i powiedział po angielsku:

— Chodźcie!

„TAK JAK UCZYLI NAS OJCOWIE..."

Szli przez obozowisko. Z „tipi", wychylając głowy, przyglądali się im mężczyźni i kobiety. Przed drewnianą budą bawiły się dzieci.

— To nasza szkoła — powiedział z odcieniem dumy jeden z Indian, noszący okulary w drucianej oprawce.

Minęli kilka kobiet odzianych w tkane własnym przemysłem lniane bluzki i spódnice. Niosły wiązki drzewa na opał. Z przeciwnej strony z lasu wyszli dwaj mężczyźni z workami na plecach; zbierali jadalne korzenie i zioła lecznicze. Między drzewami dziennikarze spostrzegli rozwieszoną na gałęzi upolowaną przez myśliwych dziką kozę. Wreszcie doszli do nieco większego od innych „tipi".

Stał przed nim starszy już mężczyzna, wysokiego wzrostu i atletycznej budowy. Jak wszyscy, włosy miał splecione w długie warkoczyki. Ubrany był w czerwoną kraciastą koszulę, dżinsy, mokasyny i — założone na nie dodatkowo — gumowe kalosze. Domyślili się, że to sam To-kan-weh.

Syn podszedł do ojca, wręczył mu list i obaj zniknęli we wnętrzu namiotu. Po chwili zaproszono przybyszy do środka.

W „tipi" panował idealny porządek. Wokoło stały ustawione jedna na drugiej skrzynie, a na nich miski i czarki. Na grubych skórach baraszkowały małe dzieci. Ze stojącego pośrodku żelaznego piecyka rozchodziło się przyjemne ciepło.

Bandilla i Schollmayer usiedli na podsuniętych im pieńkach. Wódz stojąc mówił coś do Indianina w okularach, który bez przerwy poprawiał spadającą mu z nosa drucianą oprawkę.

— Dziękujemy za przyjazne przyjęcie — zaczął rozmowę Bandilla. — Jesteśmy dziennikarzami z Europy i chcielibyśmy opisać historię wolnych Indian z plemienia Kri.

To-kan-weh musiał zrozumieć wypowiedziane po angielsku słowa dziennikarza, bo przerwał mu ruchem ręki i w swoim narzeczu zwrócił się do Indianina w okularach, któremu — jak widać — przypadła rola tłumacza.

— Nasz naród nie pragnie, żeby biali opisywali jego historię. Przybyliśmy tu na wyżynę Kootenay Plains, aby zgodnie ze starymi zwyczajami żyć w wolności i pokoju. Tak, jak uczyli nas ojcowie, postępujemy według wskazań naszego

Rys. W. Lewiński

To-kan-weh (z lewej) w rozmowie z synem.

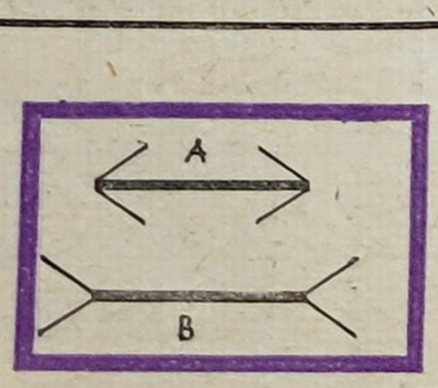

10 Odcinek B jest dłuższy .....
Oba odcinki są jednakowej długości .....

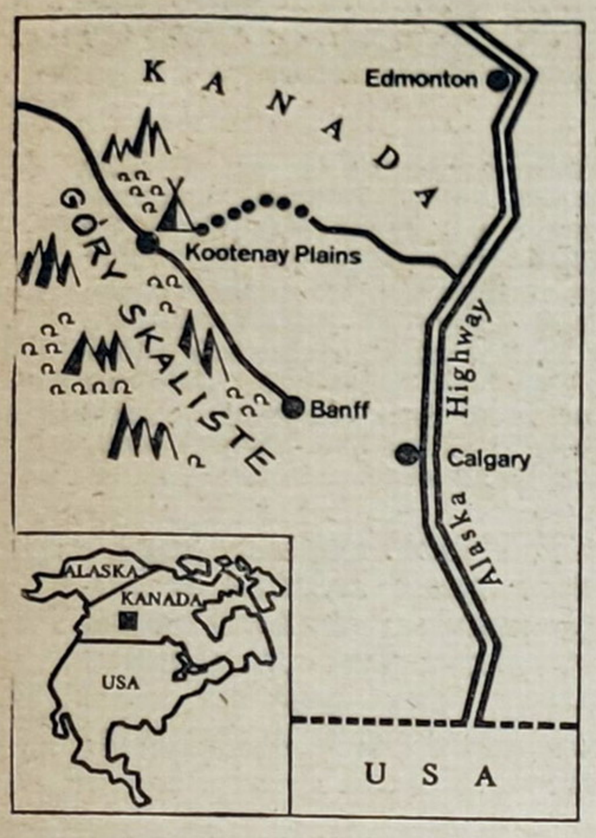

Tam gdzie na mapie Kanady umieszczony został czarny kwadracik, w niedostępnych Górach Skalistych, znajduje się obozowisko wolnych Kri pod wodzą To-kan-weha.

boga i spodziewamy się, że już niedługo zapomnimy prawa i zwyczaje białych. Nasze dzieci wyrastają tu zdrowo. W lecie i w zimie hartują się kąpiąc codziennie w lodowatej wodzie. Starsi uczą je polować, łowić ryby, garbować skóry, tkać i szyć. Mężczyźni przestali pić. Jako największe przestępstwo i grzech traktujemy kradzież i kłamstwo. Wierzymy, że kiedyś wrócimy na nasze stare ziemie.

— Czy można by zrobić zdjęcia w obozie? — wtrącił się do rozmowy Schollmayer.

— Nie jest łatwo odrzucić wszystkie zwyczaje białego człowieka — odpowiedział To-kan-weh po chwili namysłu. — Potrzebujemy broni, amunicji i innych wyrobów. Musimy za to drogo płacić, a za skóry dają nam bardzo niewiele. Jeśli zapłacicie 100 dolarów, możecie robić te swoje zdjęcia.

Przytaknęli, a wódz opuścił namiot dając do zrozumienia, że przyjęcie uważa za skończone.

Dziennikarze nie zrozumieli chyba tego tak dosłownie, bo po zrobieniu zdjęć wdali się w pogwarki z mieszkańcami obozu. W pewnym momencie zauważyli, że zbliża się do nich duża grupa uzbrojonych mężczyzn. Na czele kroczył syn wodza.

— Opuśćcie obóz! Już i tak za długo tu pozostajecie!

Nie słuchając wezwania, biali zrobili kilka kroków w kierunku „tipi" wodza. Indianie zastąpili im drogę. Któryś zagwizdał na psy. Niemcy zaczęli uciekać. Posypały się za nimi szyszki, ktoś rzucił gałęzią. Padł strzał, kula drasnęła pień drzewa. Tuż obok, w inne, wbił się nóż. Schollmayera zaatakował jeden z psów. Bez tchu dopadli swojego jeepa.

CZY WYGRAJĄ TĘ WALKĘ?

Odpowiedź na to pytanie dał właściwie To-kan-weh, kiedy mówił, że nie można zerwać ze wszystkimi zwyczajami białych ludzi. Nie chodzi tu zresztą ani o białych ludzi, ani o zwyczaje. Mimo że jego ludzie pragną żyć tak jak ich przodkowie, nie mogą się obejść bez karabinów i amunicji, bez bawełnianych koszul i gumowych kaloszy, bez żaglowego płótna... Bez wielu przedmiotów, które stworzyła współczesna cywilizacja.

W Kanadzie żyje obecnie ponad 210 tys. Indian. Trzy czwarte z nich zamieszkuje w 2267 rezerwatach położonych w najbardziej niedostępnych i ubogich obszarach kraju. Zajmują się tam polowaniem i rybołówstwem, ale coraz szerzej w ich życie wkracza rolnictwo. Młodzi ciągną do szkół, do miast, widząc w takim rozwiązaniu szersze możliwości uzyskania pełni praw obywatelskich.

Z szacunkiem patrzymy na bunt To-kan-weha przeciw tym, którzy podeptali ludzką godność potomków wielkich wojowników. Ale bunt ten przypomina nieco pierwsze robotnicze strajki, kiedy — świadomi swej nędzy i wyzysku a nie rozumiejący przyczyn tego stanu — robotnicy niszczyli maszyny, które przecież przynosiły człowiekowi wyzwolenie od ciężkiej pracy fizycznej. Trudno dziś, w drugiej połowie XX wieku, szukać drogi do wolności w ucieczce do wspólnoty plemiennej. Przywrócić czerwonoskórym pełne prawa współgospodarzy swych ziem może tylko prowadzona wspólnie z innymi wyzyskiwanymi walka o sprawiedliwość społeczną.

JERZY MAJKA

Każde dziecko w obozie hoduje jakieś zwierzę, najczęściej psa lub kota. Zwierzęta otoczone są troskliwą opieką.

Ekran „Świata Młodych" CO NOWEGO W KINIE

Winnetou

Tym, którzy w okresie ferii planują pójście do kina, proponujemy obejrzeć następujące filmy:

WINNETOU — (jugosłowiańsko-niemiecki). W jednej z ostatnich serii przygód Old Shatterhanda i Winnetou odnajdziecie nie tylko znanych wam z poprzednich filmów aktorów: Lex Barkera (Shatterhanda) i Pierre Brice'a (Winnetou), ale także ten sam klimat wielkiej przygody. Epizody krwawych walk rozgrywają się na tle malowniczych pejzaży i kanionów przypominających dziki amerykański zachód, bowiem plenery do filmu kręcone były w Jugosławi, w okolicach jezior Plivickich. Ulubiony przez was aktor, Pierre Brice, urodził się w 1930 r. w Bretanii. Studia ukończył w Paryżu i od 1953 roku zaczął występować w teatrze. Na ekranie debiutował w 1958 roku. Ma na swym koncie przeszło 20 filmów zrealizowanych we Włoszech, Hiszpanii i Francji. Z ważniejszych jego filmów warto wymienić: „Szminkę do ust" (film wyświetlany swego czasu w Polsce), „Ogniem i Mieczem" (w roli Skrzetuskiego), „Zorro contra Maciste", „Akiko" oraz wszystkie serie o przygodach Winnetou jak: „Old Shatterhand", „Winnetou", „Winnetou i Apanaczi", „Winnetou i król nafty". Miejmy nadzieję, że tego sympatycznego aktora zobaczycie jeszcze nie raz w nowej opowieści o dzielnym Indianinie. A na razie idźcie na film „Winnetou i król nafty", z którego pochodzi powyższe zdjęcie.

Przygody Tomka Sawyera

PRZYGODY TOMKA SAWYERA (rumuński). Istnieją liczne filmowe adaptacje tej popularnej książki dla dzieci o przygodach małego urwisa Tomka i jego przyjaciela Hucka. Warto obejrzeć też rumuńską wersję powieści. Odnajdziecie w tym filmie waszych dobrych znajomych, a po powrocie z kina na pewno jeszcze raz chętnie sięgniecie po książkę.

(AW)

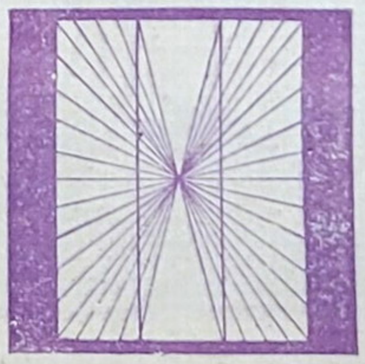

11 Dwie pionowe linie są idealnie proste. .....
Linie te są lekko „beczkowate". .....

Przypominam, że Józef Nalberczak wystąpił w jeszcze jednym znanym wam serialu telewizyjnym „Czterej pancerni i pies". Stworzył tam sympatyczną postać radzieckiego żołnierza zwanego żartobliwie „Jołki-Połki". Aktualnie możecie go właśnie w tej serii oglądać.

ROZMOWA Z JÓZEFEM NALBERCZAKIEM

POTRZEBA

KAŻDY CZŁOWIEK lubi marzyć. Nie każdy się tylko do tego przyznaje. Naturalną potrzebę marzeń zaspokaja w dużym stopniu teatr. Tam spotykamy inny świat, puszczamy wodze wyobraźni i fantazji. Być może dlatego tak wielka jest magia teatru.

O MARZENIACH, TEATRZE I O POWOŁANIU DO ZAWODU AKTORA — ROZPOCZĘŁAM ROZMOWĘ ZE ZNANYM WARSZAWSKIM AKTOREM — JÓZEFEM NALBERCZAKIEM.

— Zastanawiałem się nieraz, co ciągnie ludzi do teatru? Dlaczego tak bardzo przeżywają każdą sztukę? Przecież bywa, że na scenie jest tylko umowna dekoracja i dwoje aktorów prowadzących dialog. A ludzie na widowni wzruszają się, płaczą... Tak np. dzieje się na spektaklu „Marii Stuart", w którym ostatnio gram. Doszedłem do wniosku, że ludzie na co dzień potrzebują pożywki dla swych marzeń i wyobraźni. I dlatego przychodzą do teatru.

— CZY TO SAMO MOŻNA POWIEDZIEĆ O AKTORACH? CZY WYBRALI TEN ZAWÓD TEŻ Z POTRZEBY MARZEŃ?

— Wydaje mi się że tak. Aktor to człowiek, który, oprócz pewnych predyspozycji do tego zawodu, musi bardziej niż kto inny mieć rozbudzoną wyobraźnię i tęsknotę do „bycia kimś innym".

— O ILE WIEM, NIE ZAMIERZAŁ PAN W MŁODOŚCI ZOSTAĆ AKTOREM, TYLKO... KSIĘDZEM.

— Tak, ale i wtedy frapowała mnie najbardziej zewnętrzna strona tego zajęcia. Fakt, że ksiądz nosi złocone ornaty, długie suknie, że pokazuje się ludziom przy ołtarzu i celebruje różne czynności odprawiając mszę, podczas gdy inni tylko w tej celebracji uczestniczą — czyż nie jest to w jakimś sensie podobne do teatru?

— W REZULTACIE DUŻO INNYCH, BARDZIEJ PROZAICZNYCH RZECZY WYDARZYŁO SIĘ W PANA ŻYCIU, NIM ZOSTAŁ PAN AKTOREM.

— Tak, niestety. Należę do pokolenia wojennego, a wszyscy, którzy wzrastali w cieniu wojny, nie mieli zbyt wiele okazji do marzeń. Zostałem żołnierzem. Z II dywizją przeszedłem drogę aż do Berlina. Zdobyłem kilka odznaczeń bojowych, jak np. „Medal Grunwaldu", „Za Zwycięstwo i Wolność", „Za Warszawę", „Za Berlin". Już wtedy byłem w teatrze frontowym, który prowadził Bogdan Ratkowski. Po wyzwoleniu byłem jednym z pierwszych, który jeszcze w mundurze i saperkach zgłosił się jako student do Szkoły Dramatycznej.

— OD JAKIEJ ROLI ZACZĄŁ PAN REALIZOWAĆ SWE MARZENIA „STANIA SIĘ KIMŚ INNYM"?

— Nie pamiętam już dziś swego aktorskiego debiutu. Grałem od tamtej pory tyle postaci... Występowałem w Teatrze Olsztyńskim, Łódzkim. Później w Warszawie w teatrze „Rozmaitości", „Ludowym", „Współczesnym". Pamiętam natomiast swój debiut filmowy. Był to sportowy film: „Zaczarowany rower". Grałem tam kolarza i zdaje się, że wtedy zyskałem popularność i sympatię wśród młodych widzów — entuzjastów sportu.

— NIE STRACIŁ PAN TEJ SYMPATII DO DZIŚ. MŁODZIEŻ UWAŻA PANA ZA „SWOJEGO" AKTORA. CENI W PANU NIEZWYKŁĄ ŻYWOTNOŚĆ, AUTENTYZM, SPRAWNOŚĆ I SIŁĘ FIZYCZNĄ. JEST PAN DLA NIEJ TYPEM KUMPLA TAKIEGO, CO TO „KONIE MOŻNA Z NIM KRAŚĆ". SWOJĄ ROLĄ W TELEWIZYJNYM SERIALU „DO PRZERWY 0:1" TĘ OPINIĘ PAN UTWIERDZA.

— Cieszy mnie to niezmiernie, bo najwdzięczniejszą publicznością zawsze była, jest i będzie młodzież. A wracając do roli w „Do przerwy 0:1" to rzeczywiście dała mi ona trochę satysfakcji zawodowej. Lubię chłopców takich jak „Paragon" i jemu podobni. Lubię jeździć na motorze i grać w piłkę. Do dziś jestem zapalonym kibicem meczów piłkarskich i nie ma mnie dla nikogo, gdy jest transmisja sportowa w TV.

— CZY DZIEJE „PARAGONA" PRZYPOMINAJĄ PANU W PEWNYM SENSIE WŁASNE DZIECIŃSTWO?

— Tak, nawet bardzo. „Paragon" to warszawski chłopak, znający każdą uliczkę w swojej dzielnicy. Ja byłem taki sam. Tak samo jak i on namiętnie grałem w futbol i należałem do niejednej drużyny podwórkowej. Ciągnęło mnie w daleki świat i marzyłem o tym, by być najsławniejszym sportowcem. Byłem silny, zwinny, wygimnastykowany. Dziś też, aby nie wyjść z wprawy, dużo trenuję i zimą, i latem. Dlatego zachowałem dobrą kondycję fizyczną i mogę podjąć się każdej sportowej roli, mimo... że wiek już nie ten.

— A JAK PAN WSPOMINA SWÓJ UDANY UDZIAŁ W „NIEBEZPIECZNYCH ŚCIEŻKACH" — SERIALU TV, GDZIE PARTNEROWAŁ PAN RYSZARDOWI PIETRUSKIEMU — „HARNASIOWI"?

— Fabuła „Niebezpiecznych ścieżek" oparta została na autentycznych faktach spisanych przez Mariana Reniaka, który otrzymał polecenie dotarcia do bandy działającej na Podhalu, rozszyfrowania jej i ułatwienia likwidacji. Wszędzie postacie z bandy „Harnasia" były prawdziwe. Dla mnie osobiście realizacja filmu nie była zbyt uciążliwa, jako że przeszedłem już wcześniej „chrzest bojowy" i żadne batalistyczne sceny nie były mi obce.

— PRAWDOPODOBNIE ZOBACZYMY PANA JESZCZE W NOWYM SERIALU TELEWIZYJNYM ZATYTUŁOWANYM „W IMIENIU PRAWA". CZY MÓGŁBY PAN OPOWIEDZIEĆ O NIM COŚ WIĘCEJ?

12 Widzę na tym rysunku głowę kobiecą z boku. .....
Widzę twarz czarownicy. .....
Widzę jedno i drugie. .....

o jadowitych

KORESPONDENCJA Z AUSTRALII

W SOBOTĘ rano przybiegł pod moje okno zdyszany Chick Holmes.

— Ted, chcesz zobaczyć węża?

— Chcę — odkrzyknąłem, zrywając się od stołu, przy którym pisałem list do znajomych w Polsce. — Gdzie on jest?

— Joe trzyma go specjalnie dla ciebie. Zabierz żonę i dzieci. Niech wiedzą, że jak coś takiego znajdą na swojej drodze, to lepiej brać nogi za pas.

Wybiegłem na podwórze. Grupka Australijczyków stała dokoła Joe, który trzymał między dwoma patykami małego brązowego węża, może dwudziestu centymetrów długości.

Tak zapoznaliśmy się z wężem brązowym. Chick wyjaśnił nam wszystkim, że długość dorosłego węża dochodzi do jednego metra, i że jego ukąszenie może być śmiertelne, jeśli lekarz nie działa szybko.

Ale wąż brązowy to nie jest jeszcze najgroźniejsza bestia w australijskim buszu.

Tego samego dnia poszliśmy odwiedzić starego Dignama, który pracował w pobliskim leśnictwie i miał ładny ogródek warzywny. Wracaliśmy obładowani jarzynami, nasz pies „dingo" biegł przodem. Dochodziliśmy właśnie do naszej chałupki, kiedy pies nagle zjeżył się i skoczył naprzód. Drogą sunął dość pokaźny wąż miedzianego koloru, z czarnym zygzakiem wzdłuż grzbietu. Zanim pies go dopadł, gad wsunął się do ułożonej pod nawierzchnią drogi rury betonowej, odprowadzającej wodę z przydrożnego rowu. Poszedłem zaraz do Chicka i spytałem go, co to za wąż Chick aż pobladł. Nawet kilka razy zaklął.

— To jest najgorszy zabójca w Australii — powiedział. — Nazywa się wąż-tygrys. Trzymaj się od niego z daleka. On tam widać mieszka, w tej dziurze pod nawierzchnią drogi. Ma tam jamę. Bardzo uważaj na dzieci. Jeśli „tygrys" zobaczy, iż ktoś stoi na drodze, zaatakuje natychmiast.

— No to go trzeba tam wytropić i zabić — powiedziałem.

Chick spojrzał na mnie z niezdrowym uśmiechem.

— Ach, ty Europejczyku — zaśmiał się. — Tam jest cała rodzinka, dobrze ukryta i zamaskowana. Może nawet jednego zabijesz, ale inne zostaną i nie darują ci tego. Nikt tam ręki nie wsadzi. Nie ma na nie sposobu. To jest prawo buszu, rozumiesz? Tu muszą być węże i jadowite pająki i diabeł wie co. Musisz się do tego przyzwyczaić, jeśli chcesz tu żyć. Musisz dawać sobie radę w spotkaniu z każdym wrogiem. Prawo buszu, kapujesz?

★

W ciągu kilku następnych miesięcy zabiłem sam parę tuzinów czarnych węży, mniej niebezpiecznych od węża-tygrysa czy „brązowego", ale częściej spotykanych. Trzeba tylko było mieć w pobliżu łopatę albo długi kij.

MARZEŃ

— Ten nowy cykl widowisk sensacyjnych napisała spółka autorska — Zbigniew Safian i Andrzej Szypulski. Ci sami, którzy wymyślili Klossa i „Stawkę większą niż życie". Seria poświęcona jest pracy naszej milicji. Główną rolę porucznika Olczaka, awansowanego później na kapitana — gram właśnie ja. Jest jeszcze dwójka młodych bohaterów — dziewczyna Irka i były partyzant Franek. Pierwszy odcinek — „Sztylet z monogramem" rozgrywa się w małym miasteczku koło Lublina. Zostaje tu schwytany niemiecki szpieg. Odcinków na razie jest pięć. Drugi z nich nazywa się „Duch zamku" i dotyczy nielegalnego wywozu dzieł sztuki. Trzeci pt. „Bywa i tak, kapitanie" opowiada o kradzieży cementu w wielkich zakładach przemysłowych. W każdym odcinku sprawiedliwość zwycięża, ale kapitan Olczak ma niełatwe zadanie wykrycia przestępcy i jego przygody są niekiedy dramatyczne.

— OBY UDAŁO SIĘ PANU POSTACIĄ KAPITANA OLCZAKA „ZAWOJOWAĆ" W RÓWNYM STOPNIU WIELOMILIONOWĄ PUBLICZNOŚĆ, TAK JAK UCZYNIŁ TO MIKULSKI JAKO „KLOSS".

— Znowu wracamy do marzeń... Ale ponieważ marzenia to nieodłączny atrybut aktorstwa, więc przyjmuję pani życzenia. Oby tak się stało!

ALICJA WIELGOŁAWSKA

„Paragon" — to taki sam warszawski chłopak namiętnie grający na podwórku w piłkę — jakim niegdyś byłem i ja. Dlatego tak mile wspominam ten film — powiedział aktor. Na zdjęciu Józef Nalberczak i odtwórca głównej roli „Paragona" warszawski uczeń Marian Tchórznicki.
Foto: Lucjan Uziębło i CWF

Wężach, dziobaku i kangurach

Prawo buszu jest nieubłagane.

Dopiero później dowiedziałem się, że najgroźniejszym zabójcą w Australii nie jest wąż-tygrys tylko „death adder" z gatunku węży. Już jego nazwa mrozi krew w żyłach — „żmija-śmierć". Jej jad jest groźniejszy od jadu indyjskiej kobry. Z dumą mówił mi o tym pewien Australijczyk, który twierdził, że w jego kraju wszystko jest... najlepsze w świecie.

Z istniejących 6000 gatunków węży 150 żyje w Australii, w tym sto jadowitych. Inne są niegroźne, np. „carpet snake", czyli wąż-dywan, zwany tak, ponieważ jego łuska układa się w piękny, barwny deseń. Kiedyś dostrzegłem taki okaz wygrzewający się w słońcu na kupie drzewa. Razem z Chickiem złapaliśmy go na lasso.

★

Ale nie wszystkie stworzenia żyjące w buszu są groźne. Oto np. dziobak, czyli „platypus" — istna pokraka — jakieś bliżej nie zbadane ogniwo między ssakopodobnymi płazami, żyjącymi około 190 milionów lat temu, i... dzisiejszą kaczką. To tak, jakby przyroda nie miała jeszcze doświadczenia i ulepiła stwór, który ma cztery króciutkie łapy, tak że maszerując ciągnie brzuchem po ziemi, kaczy dziób i uszy — podobnie jak u ptaków nie

wystające spod owłosienia. Samica składa jaja (trzy rocznie) i wysiaduje pisklęta, które potem karmi mlekiem wydzielanym przez skórę. Samiec ma dla obrony „ostrogi" na tylnych nogach, zawierające jad. Dziobak pływa i nurkuje szukając pożywienia na dnie rzeki, przy czym zamyka oczy i uszy. Jego nos pełni funkcję czułego organu dającego znać, że w pobliżu jest zdobycz. Żywi się głównie drobnymi raczkami. Między palcami u nóg ma błony jak kaczka. Rośnie czasem do długości pół metra. Żyje w dziurach wykopanych tuż nad powierzchnią wody, kopie długie korytarze z gniazdem na końcu. Nie wyrzuca wykopanej ziemi na zewnątrz, aby nie pozostawić po sobie śladu. Ubija ją w miarę kopania.

Bliskim krewnym dziobaka jest mrówkojad „echidna". Potrafi rozrywać gniazda termitów, a nawet pnie i deski lub odwalać głazy, pod którymi gnieżdżą się mrówki. Długi, lepki język wysuwa się, łapie setki owadów za każdym razem. Potrafi z niewiarygodną szybkością chować się pod ziemię, rozkopując ją łapami. Jeśli za późno na ucieczkę, zwija się w kłębek jak jeż: ma na sobie ostre kolce. Składa jedno jajo rocznie i wychowuje potomka w worku, podobnie jak kangur.

★

Najgorsza zaś chyba pokraka to kangur. Istniał on miliony lat temu, jak wykazują ślady na skałach. Na całym świecie jest 151 rodzajów torbaczy; z tego jeden tylko — opos — żyje również w Ameryce; reszta zaś bytuje tylko na terenie Australii. Królem ich jest kangur o charakterystycznej budowie — przednie kończyny ma jakby zanikające, podczas kiedy tylne są potężne, podobnie jak ogon z którego Australijczycy czasem gotują zupę. Kangur może jednym skokiem przebyć dystans dziesięciu metrów.

To bardzo ciekawy widok, kiedy stado kangurów pasie się spokojnie, a jeszcze ciekawszy, kiedy jeden z nich dostrzeże jakieś zagrożenie. Tupie wówczas nogami w ziemię i na ten sygnał stado oddala się w podskokach, przy czym dorosłe samce osłaniają odwrót samic, zwłaszcza matek noszących swoje małe w workach na brzuchach.

Może najdziwniejsze jest to, iż matka, mająca np. prawie trzy metry wzrostu, rodzi rocznie tylko jedno dziecko wielkości zaledwie jednego cala. Nosi je potem w worku tak długo, dopóki mały „joey", jak go zowią Australijczycy, nie potrafi dbać sam o siebie. Kangur walczy przy pomocy tylnych nóg, zaopatrzonych w pazury. Istnieje odmiana żyjąca na Wyspie Kangurów (Australia Płd.), która walczy zupełnie inaczej: atakowany przez psa kangur łapie go i niesie w podskokach do najbliższej kałuży, zanurza go z głową i topi.

Jest wiele mniejszych kangurów, ogólnie zwanych „wallaby", są nawet takie, które żyją na drzewach. Farmerzy tępią je bezlitośnie, ponieważ bardzo niszczą pastwiska.

★

Nie można tu oczywiście wymienić i opisać wszystkich zwierząt, które żyją w Australii, ale chyba należy jeszcze wspomnieć o zagadkowych okazach, zwłaszcza tych, jakie czasem spotyka się na Tasmanii. Jedno z nich to „tasmański tygrys" — już prawie wytępiony rodzaj wilka o krótkich nogach i pręgowatym tułowiu (od czego nazwa). Samica rodzi cztery małe rocznie, nosi je w worku. „Tygrys" ten nie jest duży, ma ponad metr długości. Jada chętnie owce, na skutek czego jest zaciekle tępiony przez farmerów. Jest już tak rzadki, że bardzo niewielu mieszkańców Tasmanii widziało go na własne oczy.

„Tasmański diabeł" natomiast, mimo iż jest drapieżnikiem napadającym na owce, nie wykazuje tendencji do zanikania. Rozmnaża się podobnie jak „tygrys"; ma czarne futro z jasnymi plamami na szyi oraz na grzbiecie. Nieco mniejszy od „tygrysa", jest podstępny i silny, jego szczęki z łatwością kruszą nawet duże kości.

Oba te zwierzaki są już pozostałością bardzo dawnych czasów i nie mają „krewnych" wśród zwierząt obecnie żyjących.

Wszystko to wskazuje, że Australia jest niezwykle ciekawym lądem, stanowiącym jakby przekaz prehistoryczny, „ilustrowany" przykładami stworzeń, stanowiących na pewno ogniwo między naszymi i bardzo zamierzchłymi czasami.

TADEUSZ SOBOLEWSKI

Rys. W. Lewiński

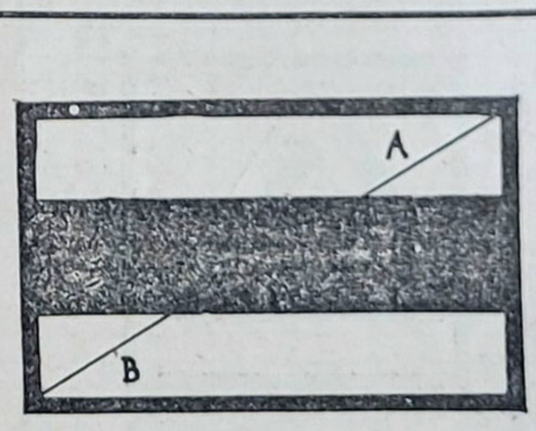

13 Linia A jest przedłużeniem linii B. ..... Przedłużenia tych linii się mijają. .....

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

10.

ZESZLIŚMY na dół po „skrzypliwie stękających" schodach, które nie skrzypiały.

Bratanek pchnął jakieś drzwi, schylił się i wszedł do środka. Weszliśmy za nim. Pokój łączył się bezpośrednio z tarasem wychodzącym na ogród.

— To był dobry pisarz — powiedział Bratanek. — Wynajmował od ciotki willę od razu na pół roku albo i na rok. I pieniądze dawał z góry. Dobry był pisarz. — I w tym pokoju tworzył swoją „Starą willę"? — zapytałem.

— Ty tam, chłopsiu, jak będziesz się wyrywał... Jak będziesz...

— Dobrze już, dobrze! — przerwałem. — Psuję panu plan? To z niecierpliwości, proszę mi wierzyć.

Znów nie pozwoliłem poniżyć się przy **niej.**

— Pisarz tu nie pisał — poinformował nas Bratanek. — O Letniku pisał w piwnicy. W podziemiu...

Mironowa bez przestanku notowała.

— Tu jest podziemie?... — spytałem po cichu.

— Rano schodził **tam** i basta. Do obiadu ani widu, jakby go matka nie urodziła... Kapujecie?

— Filozof Diogenes siedział w beczce — zauważył od niechcenia Nieboszczyk. — No, a ten w piwnicy.

— Chodźmy czym prędzej! — wykrzyknąłem. — Do podziemia! Do miejsca pracy pisarza!

— Jak nie macie pietra, no to hajda! — powiedział Bratanek.

Dziwne, ale moja propozycja wcale go nie rozzłościła. Później dowiedziałem się **dlaczego!** Ale wtedy... Wtedy myśl nie chciała mnie olśnić, choć na ogół czyniła to chętnie.

Blady jak trup Nieboszczyk dreptał w miejscu.

— Boisz się? — spytałem go szeptem, tak jednak, by usłyszała Natasza Kułagina. Musiałem otworzyć jej oczy!

Zaczęliśmy schodzić po stopniach, na których ślizgała się noga — może była to wilgoć, może nawet pleśń... Ogarnęło mnie radosne podniecenie — po tych właśnie stopniach schodzili do podziemia autentyczni wywiadowcy. Schodzili wiedząc, że mogą nigdy stąd nie wyjść!...

„O gdyby tam czekało nas jakieś niebezpieczeństwo — marzyłem. — Natasza, wylękniona, przybiegłaby nie do Nieboszczyka, lecz do mnie i ja znalazłbym wyjście z sytuacji. Ja bym ją uratował! Ale niestety... Skoro schodził tam codziennie G. Borodajew, to znaczy, że o żadnym niebezpieczeństwie nie ma mowy. Nie będę więc mógł dowieść jej..."

— Ty tam, chłopsiu, znów tego... pchasz się pierwszy... Czekaj, światło zapalę!

Przekręcił kontakt. Przez uchylone drzwi, obite — jakże by inaczej — zardzewiałą blachą, wpełzła nikła smuga światła. W powieści G. Borodajewa światło zawsze „wpełzało" przez uchylone drzwi lub „posępnie wyrywało" coś z ciemności, a później, gdy drzwi zamykano, „wypełzało" z powrotem. Pamiętałem to dobrze.

A więc wszystko grało, jak w prawdziwych powieściach kryminalnych!

— Jazda! — powiedział Bratanek.

Mironowa weszła pierwsza. Bratanek puścił nas przodem. Na ostatku wszedł Nieboszczyk... Powiało na mnie przyjemną wonią stęchlizny i pleśni.

Nagle drzwi zatrzasnęły się z głośnym szczęknięciem. Potem żelazo przejechało po żelazie — Bratanek zamknął zasuwę. Został po drugiej stronie drzwi, które jak mi się wydawało, zatrzasnęły się na wieki!...

Rozdział VI

z którego widać jasno, że nic dla mnie nie jest jasne

Ogarnął mnie bezwiedny strach. Ale tylko na mgnienie. W następnej sekundzie go odrzuciłem. Raczej odgoniłem precz.

Tym bardziej że Natasza zrobiła krok w moim kierunku. Prawie niezauważalny kroczek, który ja jednak zauważyłem. A raczej wyczułem. W ogóle, gdy jakaś istota bardzo nam się podoba, to tylko ją jedną śledzimy wzrokiem, tylko do niej mówimy, choć dla zachowania pozorów udajemy, że do wszystkich. I obserwujemy jej reakcje. I liczymy, ile razy na nas popatrzyła. Ten, kto kochał, z łatwością mnie zrozumie!

„W chwili niebezpieczeństwa **ona** chce być ze mną! Chce bym ją chronił i osłaniał własnym ciałem!"

— Muszę wracać elektrycznym o siedemnastej — powiedziała Natasza.

„Muszę wracać...". Więc nawet nie „musimy".

„Martwi się o swoją mamę" — myślałem. I dziwna rzecz: pozazdrościłem jej mamie, która miała bardzo dobre serce, podczas gdy moje było absolutnie zdrowe, więc biorąc na zdrowy rozum raczej ona powinna mi zazdrościć. Lecz ja nie powodowałem się zdrowym rozumem.

— Bratanek żartuje — tłumaczyłem Nataszy. — Nie widzisz, że to głupie żarty?

— To niech otworzy.

Życzenie jej było dla mnie rozkazem. Ale nie dla Bratanka.

— Proszę otworzyć — zawołałem.

— To ty, chłopsiu? — rozległo się za drzwiami. — Czego ci znów trzeba? Wszyscy siedzą cicho, jakby ich nigdy matka nie urodziła, tylko ty się indyczysz!...

Parsnął cichym ohydnym śmieszkiem.

— Proszę natychmiast otworzyć! — rzekłem rozkazująco. I spojrzałem na Nataszę. Stała ze spuszczoną głową. Nie widziałem jej twarzy, ponieważ mętna żarówka, którą zaświecił Bratanek, była gdzieś daleko w głębi podziemia.

— Chciałeś wiedzieć, gdzie podział się Letnik, nie? — spytał Bratanek. — No to teraz się dowiesz!

— Co mają znaczyć te słowa? — trąciłem Gleba w ramię.

— Nie wiem — odpowiedział.

Nagle usłyszeliśmy za drzwiami oddalające się kroki. Bratanek wracał na górę. Odchodził zostawiając nas w podziemiu...

Znowu chwyciłem Gleba za ramię.

— Zawróć go, zatrzymaj!

— Jak go zatrzymam?

— Krzycz! — szeptałem, by nie zdradzić wewnętrznego wzburzenia. — Wrzeszcz na całe gardło!

— Nie usłyszy... Poszedł na górę... Tam ani słowa... Drzwi żelazne... Na nic się zda krzyczeć...

— A nie masz klucza?

— Nikt nie ma... Zgubili... Angielski zamek, drzwi się zatrzaskuje i koniec. Otwiera się z tamtej strony... On jeszcze na zasuwę...

— Pogrzebani? — spytał cicho Nieboszczyk. — Żywcem?

Przypomniałem sobie Aidę i Radamesa, których żywcem zamurowano. I znów popatrzyłem na Nataszę. Jakże pragnąłem, by i jej przyszło na myśl to porównanie! Lecz ona myślała tylko o pociągu. Widziałem to wyraźnie. Zresztą, czy można porównywać nasze losy? Przecież Aida i Radames zostali zamurowani we dwoje, a nas było sześcioro.

— O, nie smuć się! — powiedziałem do niej. — Ja was stąd wyprowadzę. Znowu ujrzycie słońce!

Cofnęła się z lekkim przestrachem. Natychmiast więc dodałem:

— Wszystko będzie dobrze!

Tak bardzo chciałem, żeby niebezpieczeństwo nas zbliżyło. Niestety, nie zbliżyła się ani trochę, zaprzątała ją myśl o pociągu.

— Muszę być w domu najpóźniej o szóstej.

— I będziesz!

C.d.n.

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKA

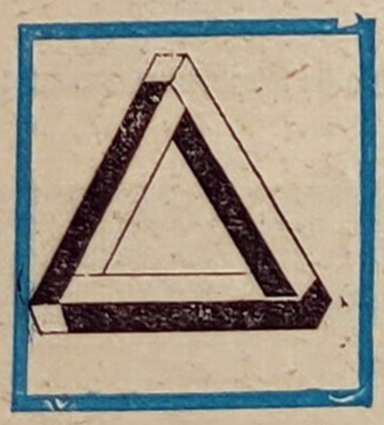

14 **Jest to trójkąt z drewna postawiony pionowo. .....**
Jest to trójkąt z drewna skręcony. .....
Tego się wykonać w modelu nie da. .....

TYTUS, ROMEK i A'TOMEK

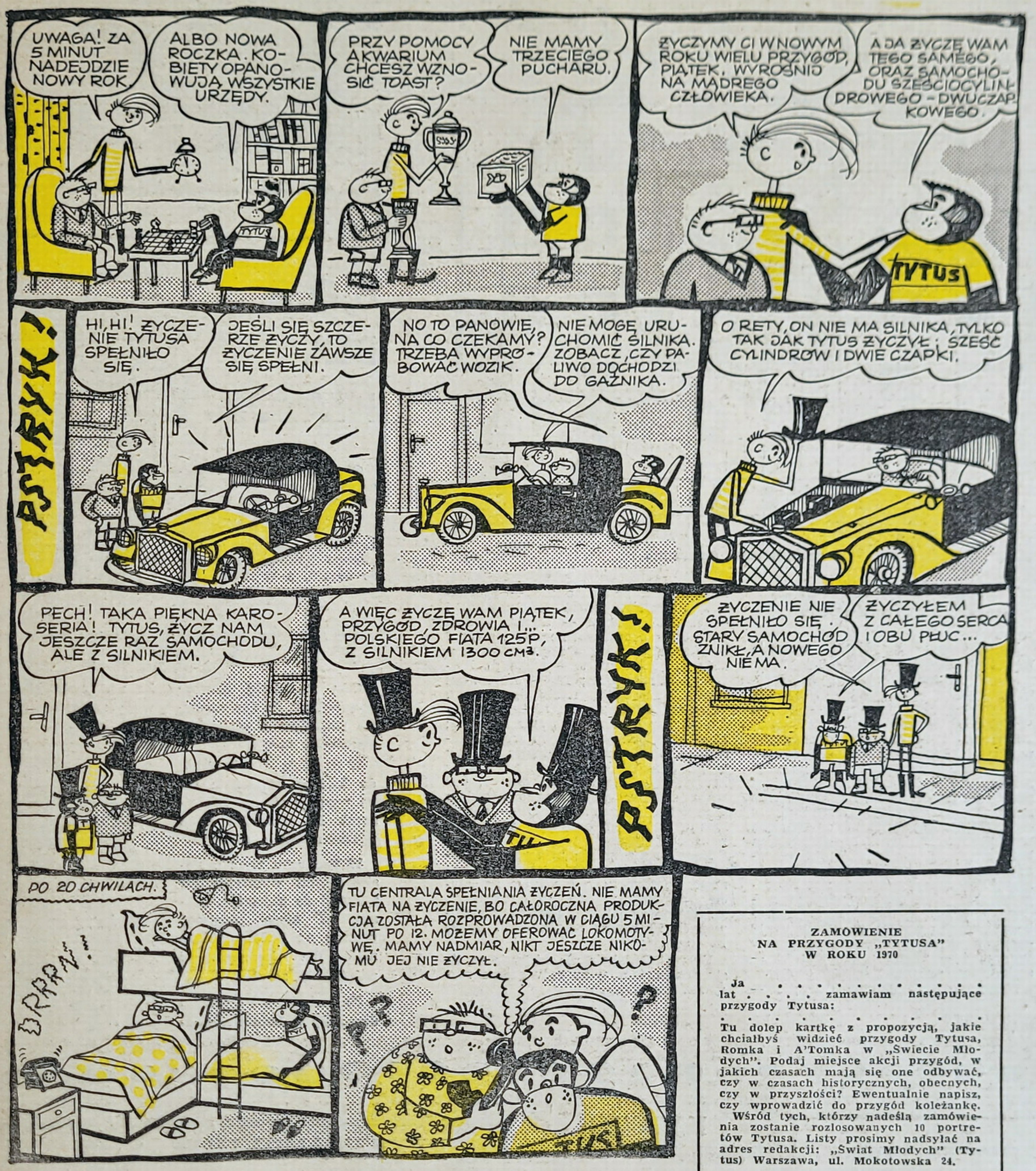

ZAMÓWIENIE NA PRZYGODY „TYTUSA" W ROKU 1970

Ja . . . . . lat . . . . zamawiam następujące przygody Tytusa:

. . . . . .

Tu dolep kartkę z propozycją, jakie chciałbyś widzieć przygody Tytusa, Romka i A'Tomka w „Świecie Młodych". Podaj miejsce akcji przygód, w jakich czasach mają się one odbywać, czy w czasach historycznych, obecnych, czy w przyszłości? Ewentualnie napisz, czy wprowadzić do przygód koleżankę.

Wśród tych, którzy nadeślą zamówienia zostanie rozlosowanych 10 portretów Tytusa. Listy prosimy nadsyłać na adres redakcji: „Świat Młodych" (Tytus) Warszawa, ul. Mokotowska 24.

Rys. H. CHMIELEWSKI

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA", RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 5357 P-19

15 Odcinek A—B jest dłuższy .....
Odcinek A—C jest dłuższy. .....
Oba odcinki są jednakowej długości .....

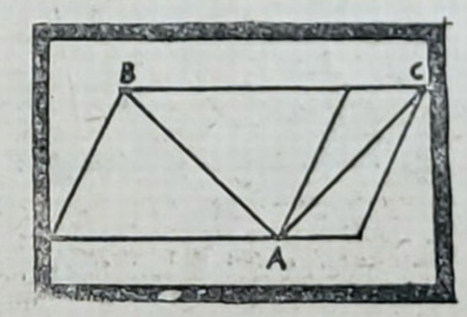

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

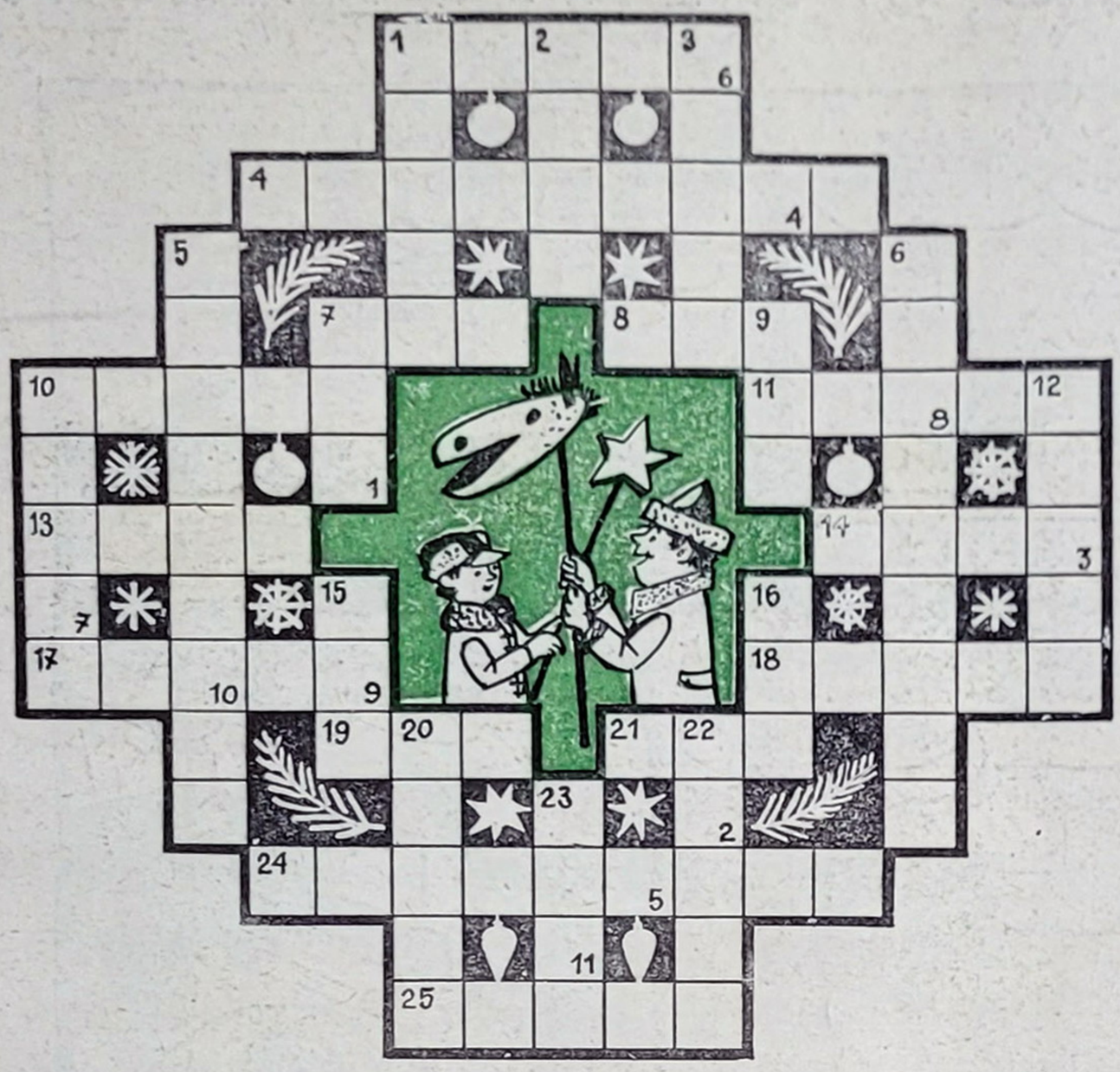

KRZYŻÓWKA

Do diagramu krzyżówki wpiszcie wyrazy o podanym znaczeniu.

Litery znajdujące się w prawych, dolnych kącikach kilku kwadratów oznaczone cyframi od 1 do 11 tworzą ostateczne rozwiązanie.

Poziomo: 1 — wóz lekki o nadwoziu w postaci kosza z wikliny; 4 — zakład, w którym odparowuje się z kopalni solankę; 7 — budowla utrzymująca stale spiętrzenie wody na kanale lub rzece; 8 — część sztuki teatralnej; 10 — kapłanka (wieszczka) objawiająca wyrocznie w Delfach; 11 — środek na ból gardła, miasto w USA; 13 — ryba; 14 — ssak morski, ma olbrzymie kły; 17 — jest przezroczyste, nieprzepuszczalne, daje się wyginać i wydmuchiwać; 18 — rodzaj kurtki z grubego sukna, noszonej na Podhalu; 19 — mały konik; 21 — rzeka, dopływ Wołgi; 24 — inaczej: konnica; 25 — ssak drapieżny (futro bardzo cenne).

Pionowo: 1 — dopływ Odry; 2 — zwierzchnik, przełożony; 3 — przybudówka przed wejściem do budynku; 5 — choroba wzroku — zaćma, wodospad; 6 — pomieszczenie dla warty; 7 — trująca wydzielina z gruczołów niektórych zwierząt; 9 — rzeka na Półwyspie Pirenejskim; 10 — długi zwał trawy lub innych roślin uprawnych; 12 — wnęka w murze; 15 — urządzenie w porcie dla naprawy okrętów; 16 — dowódca w dawnym wojsku tureckim; 20 — żywy chłopiec lubiący płatać figle; 22 — paciorek zrobiony z koralowiny służący jako ozdoba, potoczna nazwa koralowca o twardym szkielecie wapiennym; 25 — nazwa lokalu, w którym odbywają się zebrania towarzyskie.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 zł.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

ZIMA W NAS – MY W ZIMĘ!

S.O.S. DLA PTAKÓW!

Otrzymaliśmy alarmujące wieści o trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się obecnie ptaki i zwierzęta żyjące w lesie. Ziemię pokrywa zlodowaciały śnieg, którego grubość dochodzi do 30 cm, a w niektórych rejonach jest nawet większa.

Ptaki i zwierzęta nie mogą nic wygrzebać spod śniegu. Giną masowo: kuropatwy, bażanty, cietrzewie, głuszce, głodują zające i sarny.

Natychmiast przystępujcie do wysypywania pokarmu, zawieszajcie karmniki i domki, w których zziębnięte ptaki będą mogły spędzić noc. Jeśli nie macie pokarmu, zgłoście się po niego do leśniczego, gajowego i do związku łowieckiego.

Ptaki i zwierzęta czekają na waszą pomoc — możecie je uratować od głodu!

PRZYJACIELE

Gdy na ferie zimowe przyjeżdżam do domu, zawsze pamiętam o ptakach i zwierzynie leśnej.

W ogrodzie wisi karmnik do którego codziennie rano wsypuję ziarno. Dla sikorek na zewnątrz okna wieszam skórkę słoniny.

W tym roku wraz z siostrzyczkami wybieram się sankami do gajowego. Mamy od niego otrzymać drewno na budowę schronień dla kuropatw i paśnik dla saren.

Po feriach, gdy wracam do szkoły w Lublinie, opiekę nad zwierzętami sprawują moje siostry. (bs)

Tadeusz Sobczyszczak
Internat przy Techn. Chem.
w Lublinie

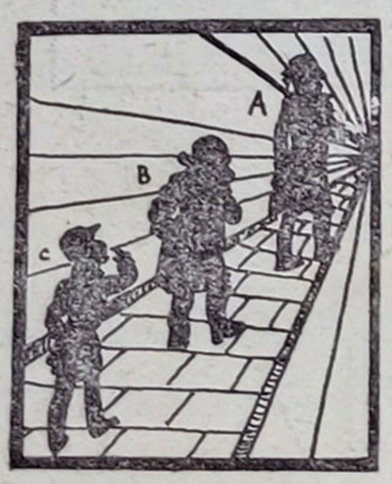

16 Postać A jest najniższa. .....
Postać C jest najniższa. .....
Wszystkie postacie są równe. .....

ROZWIĄZANIE «TRENINGU GENIUSZA»

1. **A — B równa się C — D.**
2. **Nie da się wykonać, można tylko narysować.**
3. **Jest idealnie prosta.**
4. **Zbudowana jest ze współśrodkowych kół.**
5. **A — B równa się A — C.**
6. **Ma równe boki.**
7. **Nie da się wykonać, można tylko narysować.**
8. **Wszystkie są równoległe.**
9. **Widzę migające punkty.**
10. **A równa się B.**
11. **Są idealnie proste.**
12. **Widzę jedno i drugie.**
13. **A jest przedłużeniem B.**
14. **Tego się w modelu wykonać nie da.**
15. **A — B równa się A — C.**
16. **Postać A jest najniższa.**

PRZYZNANIE HONOROWYCH TYTUŁÓW

Za prawdziwą odpowiedź na każde pytanie macie prawo postawić sobie JEDEN PUNKT. W zależności od ilości zdobytych punktów

PRZYZNAJĘ UROCZYŚCIE NASTĘPUJĄCE TYTUŁY HONOROWE:

16 punktów — GENIUSZ ABSOLUTNY WSZECHCZASÓW
15 punktów — GENIUSZ ABSOLUTNY
14 punktów — GENIUSZ ZWYKŁY
12 punktów — ASYSTENT GENIUSZA
10 punktów — POMOCNIK ASYSTENTA GENIUSZA
8 punktów — ZASTĘPCA POMOCNIKA ASYSTENTA
6 punktów — LOKAJ ZASTĘPCY POMOCNIKA
4 punkty — PUCYBUT LOKAJA
2 punkty — NOSICIEL PARASOLA NAD PUCYBUTEM
1 punkt — ŚLEPOWRON
0 punktów — ŚLEPOWRON ROZPACZLIWY

Tytuły te nie są dożywotnie i nie zobowiązują do noszenia żadnych odznak ani medali! Po zdobyciu odpowiedniego tytułu można sprawdzić np. przy pomocy linijki czy cyrkla niektóre odpowiedzi.